Kazimierz Tetmajer.

POEZYE

SERYA II.

SFINKS

FANTAZYA DRAMATYCZNA.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

87229 L-P

KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.

DRUKIEM WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1894.

I.

WIERSZE RÓŻNE.

WSTĘP.

Straciłaś moc — od swoich progów
Ludzkość odtrąca cię niechętnych,
I nie masz dziś już nawet wrogów,
Lecz tylko zimno obojętnych;
Z mórz urodzona, z szumu lasów
Przestałaś być już mową bogów,
A jesteś mową dziś paryasów.

Straciłaś moc — pustym są dźwiękiem
Twe hasła, klątwa twoja głucha,
Nie wzruszasz skargą, ani jękiem,
Westchnienia twego nikt nie słucha;
Nikt się nie poi twoim śpiewem,
W nikim już nie czarujesz ducha,
Nie wznosisz, ni zapalasz gniewem.

Straciłaś moc — jesteś upiorem
Minionej twojej królewskości;
Z bezwładną ręką, z sercem chorem,
Niczem dziś jesteś dla ludzkości.
Nikt dziś już jako za przewodnią
Gwiazdą, nie pójdzie twoim torem,
Przestałaś wodzów być pochodnią.

Dziś co najwyżej bawisz ludzi
Lekceważona i przeżyta.
Młodość się tobą już nie budzi,
Nie potężnieje, ni rozkwita;
Aniś potrzebna tym, co cierpią,
Ani tym, których życie trudzi —
Dziś cię nie wielbią, ale — cierpią.

A jednak, taka odepchnięta
Ręką brutalną i zuchwałą,
Poezyo, niegdyś matko święta
Myśli: jesteś mą duszą całą;
Mą dumą, bo z minionych czasów
Coś królewskiego pozostało
W tobie, ty mowo paryasów.

I tem, żeś tak osamotniona
I tak skazana na zagładę,
Jak limba, co gdzieś w skałach kona
W huczącą patrząc się kaskadę,
Która ją strąci do otchłani:
Tem droższą jesteś mi — i kładę
Całe ci moje życie w dani.

W NOWY ROK.

(1892).

...»dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte,
[jak dzieło tworzenia.«
Mickiewicz.

Zło dopełnia już miary... Trwogi zimne dreszcze
Przenikają do szpiku kości ludzkość całą...
Pod ziemią słychać grzmoty wulkanów złowieszcze,
Ziemia drży, niebo chmur sie zakrywa nawałą...

Cicho... słońce się zniża ponure i krwawe — —
Dziwnie złowrogi zachód — noc wieku nastanie...
Kto wie? Może wyrzuci w tę noc wulkan lawę
I ziemię całą skryje w lawy oceanie?...

Któż zna, w jakie się łuny rozpostrze straszliwe
Ten wybuch, co się grzmotem podziemnym owróża,
Gdy raz rumak zniszczenia, rozpuściwszy grzywę,
Zarży, pęta roztarga i pogna, jak burza?!...

Drży nawet tych gromada, niepokojem zdjęta,
Co sami szarpią więzy strasznego rumaka:
Nikt nie wie, dokąd pójdzie uwolniony z pęta,
Co stratuje po drodze i meta mu jaka?

Wybuch wisi nad światem, jak ów na włosieniu
Miecz tyrana Syrakuz... Cóż, gdy włosień pęknie

I miecz utopi ostrze w ludzkości ciemieniu,
A ludzkość ugodzona zatoczy się, jęknie?...

Lecz ruń mieczu straszliwy! Może ten ludzkości
Jęk, będzie jękiem matki, która w bólach leży,
Wydając okrwawione, z rozdartych wnętrzności,
Dziecko, jej życia owoc, bytu odkwit świeży...

Patrzcie! Piętrzą się nurty przepastne potopu,
Ginie w nich ziemia cała z góry najwyższemi,
Aż oto, dnia pewnego, z błękitnego stropu
Jasne słońce zielonej uśmiecha się ziemi...

Ufajcie! Wierzcie!... Piekłem jest niemożność wiary...
Wszak życie świata ruchem falistym się sunie —
Zło życia dopełniło już chyba swej miary,
Dosięgnęło zenitu — — zważy się i runie...

Ty roku nowy, z twarzą skrytą w chmurze czarnej,
Ciemny, groźny: mów, co nam przyjście twoje wróży?
Płomienny obłok dymu kulami ciężarny?
Brzęk młotów o bagnety? Szalony wir burzy?

Milczysz?... Straszne milczenie... Oto noc się zbliża,
Drży wnętrze ziemi, słońce ponuro zapada,
A miliony, do nędzy swej przybite krzyża,
W głuchą przestrzeń ślą okrzyk przeraźliwy: biada!...

Biada narodom, ludom... Słyszysz roku nowy,
Ten jęk, do oceanów podobny łoskotu?...
Pędź rumaku zniszczenia z grzmiącemi podkowy!
Dniu pierwszy! Obyś ty był zwiastunem przewrotu!...

CREDO.

(1894).

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
I nie zazdroszczę już tej wiary — dzieciom...
Po co się łudzić? Wydarte stuleciom
Posępne, smutne, zimne doświadczenie
Złudzeniom wszelkim na czole wyryło:
„Śmierć i nicestwo“!... zabiło złudzenie..
I tylko dziwna, mistyczna, szalona
Chęć, tą ohydną wstrząsnąć ziemi bryłą,
Swiat cały, jak jest, pochwycić w ramiona,
Z posad go dźwignąć i na nowe koła
Jakiebądź rzucić, gdy te, co go toczą
We łzach się pławią i we krwi się broczą;
I tylko głos ten, co nas w noce woła
Z złem walczyć, nie przez ufność odrodzenia,
Lecz przez nienawiść ku złemu dla złego,
I żądzę, ssaną z powietrzem, niszczenia:
Jest naszą wiarą. A choć czasem ona
Omdlewa w piersiach, to wnet zmartwychwstawa,
Jako z popiołów Feniks, odrodzona,
I jak kometa błyska ludziom krwawa,
Której płomienie może świat zażegą.
My nienawidzim zła dzisiejszej doby — —
Jutro?... To jutro?... Jutro, marzyciele,
Przeklinać własne swe będziecie próby,

Nowe zło w nowem odkrywając dziele;
Jutro, trawieni nowemi choroby,
Szukać będziecie nowego systemu
Leków i zbawień, a nie mogąc męce
Ulżyć, bezsilni załamiecie ręce,
Bo póki ludziom trwać, póty trwać złemu.
Lecz naprzód, naprzód! Niechaj zbrodnie stare
Ustąpią nowym — nim się te przeżyją —
Ścigajcie marzeń cudną, a czczą marę,
Jak ci ścigali, co dziś w grobach gniją.
Lecz naprzód, naprzód! Łudźcie się, Ikary,
Że potraficie dolecieć do słońca,
W zdobyte niebo wstąpić z człowieczeństwem,
A potem — widźcie, że próżne ofiary,
Że przemoc złego jest wiecznotrwająca,
Zwątpcie, zrozpaczcie i giń cie z przekleństwem!
Bo niczem innem nie jest chód ludzkości,
Tylko przemianą zła wieczyście trwałą;
O Chrystusowej marząc wszechmiłości
Deptajcie wroga, co was przedtem deptał,
Drżąc, że już rośnie mściciel z jego kości,
Co was obali, jak kłodę zbutwiałą,
I znów was zdepce, gdy już krew wychłeptał.
Brutalna siła, która rządzi światem,
Wybawicielem nie jest, ani katem:
Ślepa i głucha, zimna, obojętna,
Idzie bez celu i niewładnąc, włada,
Niedba, gdzie jakie pozostawi piętna,
Kto pod jej nogą powstaje, kto pada?
Nienawiść dźwignią jest świata — — niech działa
Ta najsilniejsza potęga ludzkości:
Jeśli potrafi i dusze i ciała
Na wskroś przekształcić, zabić w ludziach zwierzę:
Wówczas dopiero w królestwo miłości
Ewangelicznej na ziemi — uwierzę.

DUCH.

Zda mi się czasem w noc,
Że duch mój idzie przez miasta i sioła
Z płomiennym mieczem nicestwień anioła,
Każdy krok jego jest jako chód burz,
Obala gmachy i pałace w kurz,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
Przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
A on jej zimną odpowiada wzgardą,
I dumny, wyższy nad ten cały tłum,
Idzie, jak wichrów i pożarów szum,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się.
I ducha tego o oczach szatańskich,
Chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,
Lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,
I swój płomienny w górę wznosząc miecz,
Wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
I nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu
A on zapala gwiazdę na swej głowie
I pokazuje mi ziemskie pustkowie,
Gdzie zniszczył wszystko: i dobro, i zło —
I miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
I utrudzony po unicestwieniu,
Spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

KWESTYA POLSKA.

Więc co?! Bo próżno już krzykiem dziecinnym
Budzić „rannego lwa“ i straszyć marą,
Wierzyć, że kary miecz wisi nad winnym
I że drżą winni przed złych czynów karą.

Więc co?! Bo wszelka nadzieja zawiodła,
Wszystkie się wiary okazały niczem,
Mocy nie miały w sobie żadne godła
I wszystko było marzeniem zwodniczem.

Więc wobec prawdy pewnej, niezwalczonej,
Śmiertelną nawskroś przejmującej trwogą,
Dokąd wzrok wznosić? W jakie patrzeć strony?
Z jakich pić źródeł? W co wierzyć i w kogo?

DZIŚ.

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
Choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
Nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy od razu
Nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
Tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
A serce pęka w nas i we krwi pływa.

KTÓŻ NAM POWRÓCI...

Któż nam powróci te lata stracone
Bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Wołają na nas, że w złą idziem stronę
Precz o świat troskę rzucając powinną,
A czy pytają się nas, co nam trzeba,
I czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
Daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
Bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
Niepodległego straszne są katusze,
Gdy zerwać swego nie może łańcucha?

Spójrzcie nam w mózgi — — zgryzły je, strawiły
Wrodzone ludziom daremne pragnienia.
Wołacie na nas: „Jesteśmy bez siły,
Dajcie nam słowa wiary i otuchy“ — —
A nam któż daje słowa pocieszenia?
A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
Bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...

Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
Żądacie od nas zbawień i pomocy,
Lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
Jak wy, nie mamy odwagi i mocy.

NAD POLEM PUSTEM...

Nad polem pustem, szerokiem, głuchem,
Ćma ptaków czarną zawisa chmurą,
Krążą, jak liście gnane podmuchem
Wietrznego wiru, kracząc ponuro.
Pośród czarnego ptaków odmętu,
W skłębionych skrzydeł ruchomej fali,
Lśni jeszcze słońce. Tak od okrętu,
Co się w czas burzy morskiej zapali,
Ponad bałwanów chmurę spiętrzoną,
Błyskają ognie krwawe czewono.
Zniknęło słońce... Czyż tej powodzi
Ptaków nad polem pustynnem owem
Nigdy już, nigdy nie będzie końca?
Wiecznież to pole będzie jałowem
I nic się na niem nigdy nie zrodzi
Oprócz bezdennych tęsknot do słońca?...

KONIEC WIEKU.

Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy,
Złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze.
Ironia?... Lecz największe z szyderstw czyż się może
Równać z ironią biegu najzwyklejszych rzeczy?

Idee?... Ależ lat już minęły tysiące,
A idee są zawsze tylko ideami.
Modlitwa?... Lecz niewielu tylko jeszcze mami
Oko w trójkąt w wprawione i na świat patrzące.

Wzgarda?... Lecz tylko głupiec gardzi tym ciężarem,
Którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona.
Rozpacz?... Więc za przykładem trzeba iść skorpiona,
Co się zabija, kiedy otoczą go żarem?

Walka?... Ale czyż mrówka rzucona na szyny
Może walczyć z pociągiem, nadchodzącym w pędzie?
Rezygnacya?... Czyż przez to mniej się cierpieć będzie,
Gdy się z poddaniem schyli pod nóż gilotyny?

Byt przyszły?... Gwiazd tajniki któż z ludzi ogląda,
Kto zliczy zgasłe słońca i kres światłu zgadnie?
Użycie?... Ależ w duszy jest zawsze coś na dnie,
Co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda.

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy,
Dla których żadna z dawnych wiar już nie wystarcza?
Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza
Człowiecze z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.

PROMETEUSZ.

Ogniu ty, co tam w ziemi wnętrznościach, głęboko
Wresz, huczysz i potrząsasz kamienną opoką
Ty potęgo straszliwa, wstań! Rwij ziemi łono,
Z rozdartych jej wnętrzności ruń lawą czerwoną,
Tocz odmęty płomienne na skorupę ziemną,
I wszystko, wszystko, wszystko niech ginie wraz ze mną!
Oto do przykutego do tej twardej skały,
Tam z dołu, tam zdaleka, płyną ludzkie jęki,
Ryczące, jak wezbranych oceanów wały!
Biada! Biada!... Gdzież niema nieszczęścia i męki?
Kędyż niedostąpiło zło? Z jakiejże strony
Nie wydziera się w niebo głos bólu szalony?
Biada! Biada!... Otom ja, w gryzącym łańcuchu,
Ja, głodny i spragniony, bez woli, bez ruchu,
Z poszarpanym przez sępa bokiem i wątrobą,
Trawiony najstraszniejszą ze wszystkich chorobą:
Rozpaczą beznadziejną — — ja, co mym widokiem
Gwiazdy straszę na niebie świecące wysokiem,
Ja, nędzarz, od którego nawet huragany
Uciekają, na Kaukaz kiedy się zapędzą;
Ja, wszystkim okropnościom na pastwę wydany;
Ja, jak słońce światłością, otoczony nędzą:
Otom jest cierpień ludzkich wcielonym obrazem...
Biada! Biada!... O matko-rodzicialko, ziemio,

Wzbudź te ognie, te żary, co w twem wnętrzu drzemią,
Niech runą — — i uczynią cię wodą i głazem!...
Jak tygrys, co ukryty w nadwodnej komyszy,
Czychając na gazele, krwią i mordem dyszy:
Tak nieszczęście na ludzi czycha niestrudzenie
Wiecznie, wszędzie — — przemocne tak chce Przeznaczenie.
Dziś, gdy wiem, co jest cała, straszna niemoc woli,
Gdy każdy atom ciała i ducha mię boli,
Od wieków na tej skale cierpiący samotnie
Współczuję dziś z człowiekiem o! lepiej stokrotnie,
Niżem współczuł, gdym ogień z nieba dlań wykradał —
I gdybym dziś wszechmocą Przeznaczenia władał,
Ze wszystkich szczęść najwyższe rzuciłbym ludzkości,
Nicestwiąc ją i grzebiąc na wieki w nicości!

WIDZIADŁO.

W ponurą rozpostarte dal
Północne szumi morze,
Wśród mgły ciągnących z wichrem fal
Dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmętów mgły,
Gdzie odpoczywa burza
I grom wśród chmur wiszący drży,
Widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
Kołyszą mętne piany,
Wypływa rycerz, w czarną stal
Od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
Miecz mu pod ręką leży,
Płynie, jak chmura pośród chmur,
Jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
Dech z piersi czerpie wzdętej
I grzmi, jak burz północnych bóg,
Na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,
Ponury i rozległy,
Zda się, w ogromny wichry pęk
W gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór drży,
Sklep nieba, zda się, runie —
On, nieruchomy, płynąc grzmi
Na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerz i wzdłuż
I głębię mórz bezdemną,
I ginie, trąbiąc pośród głusz,
Ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
Przez wód przelata puszcze,
I wśród mgły słychać wichrów jęk
I morze głucho pluszcze.

CHRYSTUS i MAGDALENA.

(Do obrazu Edelfelta „Christ et Madeleine“).

Błękitne mgły pajęcze
Owiały drzewa śpiące,
Po siwych wodach tęcze
Włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
Świat owładnęło cały,
Gdy Maryi Magdalenie
Zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją część i trwoga,
Żałość ścisnęła łono — —
A On szedł tam, do Boga,
W dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
Szedł biały w blaskach słońca,
A ona szepcąc: Chryste!...
Patrzała nań klecząca.

WIZYA.

Szara i głucha pustka w bezmiary idąca
Oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Wzrok zasłaniając dłonią, w koronie cierniowej,
Z krwią ciekącą z rozpacznie pochylonej głowy
I zakrzepłą na wichrem roztarganych włosach,
Biegnie cień, w długiej szaty rozwianych osłonach,
Zgięty, jakoby ciężar dźwigał na ramionach,
A krwawym potem znaczy ślad po nocnych rosach.

Biegnie w dal — przed nim pustka w bezmiary idąca,
Oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Cień ów ściga mar ludzkich chmura nieprzejrzana:
Nagie, sine ich ciała są, jak jedna rana,
Krwią broczące wstępują w krwawe cienia ślady
I wytężają za nim z przekleństwem ramiona —
W oddali widać widmo cezara Nerona
W ogniach stosu i widmo mnicha Torkwemady.

A tam, gdzie skraj ma pustka w bezmiary idąca,
Majaczy krzyż przy blasku złotego miesiąca.

Z »EXODUS«.

(Rozdział XVII).

A onego czasu
Wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi,
Wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola, pyszny i zuchwały,
W miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
A na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wonczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
Wybierz męże i wynijdź w pole przeciw temu,
Przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
Bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
W ręce mojej od Boga daną laskę dzierżąc,
I mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
Bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męże,
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
I chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
A w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
Cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszone,
Przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
Bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
Mając za towarzyszów Chura z Aaronem:
Stanął i spojrzał, kędy krwiożerczemu smoku
Rówien, walczył Jozue żelazem czerwonem.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy męztwa,
Cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
Jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
Podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
Wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów
Grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
Para mężów, Aaron i Chur, kamień spory
Wziąwszy, podłoży podeń i siadł, a ramiona
Oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
Walczył Jozue, rówien krwiożerczemu smoku,
Kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych tysiącu,
I migały na zbrojach łskliwe błyskawice;
Mojżesz, jako słup biały stał na wzgórzu w słońcu,
Topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
Świecącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
Schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
I ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
Wiszącego w obłokach i do oceanu
Grożącego burzami i podobną złotu
Co weseli ubogie i wodom Jordanu —

Umiłowanym wodom wielkiej, świętej rzeki,
Płynącej gdzieś w odległej obiecanej ziemi,
Wśród palm sennych i cichych, chroniących od spieki,
I kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a Jemu widzialną,
I drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
Wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
Czuł moc, przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
Idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
I lęk, lodowych wężów ciskający wieńce,
W Amaleka czerwone hufce od posoki

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu,
Aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięzki wybranego ludu,
Gnał przed sobą, jak powódź gna stepem bawoły.

Z »EXODUS«.

(Rozdział XIX).

II.

A w dzień trzeci ony
Po ranu, błyskawice błysły na niebiosach
I niebo było głowie podobne zmierzwionej
Smoka, gdzie wicher igra w płomienistych włosach.

A kiedy błyskawice pruły nieb sklepienie,
Jak mewy prują morze skrzydeł swoich końcem,
Połyskując piórami pod słońca promienie,
Podobne do pierzastych strzał, olśnionych słońcem:

Grzmot z rykiem się przewalał przez ciche bezmierza,
Jak bawół, co na pustkach stepowych się tarza,
Łbem rogatym potężnie o ziemię uderza
I rykiem gardła płoche gazele przeraża.

A kędy obłok zawisł gęsty i ponury,
Jak dym chmurą zawisa nad płonącym domem,
Po nad wierzchem Synai, wniebowstępnej góry:
Grały trąby mosiężne z rozgłosu ogromem.

I pruł falę powietrzną rozgłos trąb ze grzmotem,
Jako stado delfinów, co ocean porze,

Z pletw i nozdrzów hałasem, z ogonów łoskotem,
Podobne wichrom, z szumem pędzącym po borze.

Jak ciężkie chmury, z za gór wygonione tuczą,
Lecą i na przestworach wiszą widnokręga:
Grzmoty trąb, z nieb wysokich spadające, huczą,
A pokąd jasność słońca sięgnęła, grzmot sięga.

I lękał się lud w trwodze, a Mojżesz z obozu
Wywiódłszy go, naprzeciw Bogu wiódł ku górze
Wśród dreszczów niepokoju i przerażeń mrozu —
I szli, kędy płomienne wichrzyły się kurze.

Albowiem na Synai, zkąd szedł kurz płomieni
I dym buchał kłębami, zstępował z niebiosów
Pan, wśród błyskawic skrzących i ogniów czerwieni,
Ryczących gromów i trąb mosiężnych rozgłosów.

I drżała wszystka góra od stóp aż do głowy,
I drżała wszystka ziemia, co przyległa w trwodze,
Jak lwica, gdy zobaczy z pustyni stepowej
Las na wzgórzach Libanu w łunie i pożodze.

I drżało słońce krwawe i odmęty w morzu,
I drżąc niebo dzwoniło gwiazdy niewidnemi,
A jako kuropatwy przypadają w zbożu,
Gdy wzleci jastrząb — wichry przypadły ku ziemi.

I gdy trąby ogromne brzmiały coraz dalej
I coraz to potężniej, zstąpił Pan na górę
W dymu, ognia i grzmotu wichrzącej się fali,
Otoczony w obłoków siność i purpurę.

I wezwał Pan Mojżesza na wierzch góry onej
I drżał Mojżesz, jak gdyby z przepastnych bezdeni

Wystąpiwszy, ocean ku niebu spiętrzony,
Wsparł się na górze pośród ryczących płomieni.

I drżał Mojżesz, jak gdyby ogień z wnętrza ziemi
Wystąpiwszy, przez chmury okolon ryczące,
Pętał płomienie swoje z blaski słonecznemi
I na głowie położył, jak koronę, słońce.

I w chmurze się ukazał Pan, ścieląc ciemnotę
W źrenicach Mojżeszowych, pod dłoniami skrytych,
Jakoby mu na oczy padło słońce złote,
Wśród trzasku gwiazd, urwanych z śrub w niebiosa wbitych.

I padł Mojżesz na twarz swą przed Pańskiem obliczem,
I w sercu się przed Pańskim korzył majestatem,
I znikł wzrokowi ludu w mroczu tajemniczem,
A lud stał pod sinością nieba i szkarłatem.

SEN RZECZYWISTY.

Miałem sen dziwny... Noc była głęboka,
Niebo, jak całun, czarne, miasto duże,
Plac, domy, kościół i wieża wysoka.
Obok kościoła, tuż przy bramie, z ziemi
Wybuchał płomień i w blasków purpurze
Jaśniała wieża, a ciemna pomroka
Sfer lśniła łuną. W prawo od płomienia
Starcy z trąbami stali mosiężnemi,
W szatach, w jakich nam malują proroków
Dawnej Judei. Bliższych opromienia
Ogień jaskrawo, dalsi w toni mroków
Ginęli oczom. Trąby tych, co stali
Na przodzie, lśniły, jakoby ze złota;
Głębiej, tu owdzie na glansie metali,
Jak błędny ognik skacząc, blask migota.
Starce ci, rzekłbyś, wykuci w kamieniu,
W takim spokoju stali i milczeniu
I w majestacie tak wielkiej powagi,
A twarze mieli smutne i ponure. —
Od strony wieży, w lewo, przy płomieniu
Mężczyzn i kobiet czernił się tłum nagi:
Wszyscy od ognia bijącego w górę,
Ciała cofali wstecz, w świetle bronzowe,
W tył prężąc ręce i w tył tężąc głowę,

OTEKA
OWNA

Tak, że im żebra znać było przez skórę — —
Widać, okropną przeniknięci trwogą,
Cofnąć się, uciec chcą, ale nie mogą,
Jakby przyrośli stopami do ziemi.
Usta otwarte mieli, jak do wrzasku,
Skrzywione strachem, jednak byli niemi,
Jakoby głos im na błyszczących zębach
Lodem się ścinał... W ich oczach, przy blasku,
Widziałem rozpacz... Tłum ten w dymu kłębach
I w cieniu nocnym ginął gdzieś daleko,
Ledwo majacząc przy kościelnych zrębach. —
A po miejskiego placu stronie drugiej,
W półświetle bladem, kroczył orszak długi
Mężczyzn i kobiet, w szatach, co się wleką.
Wszyscy zwieszoną mieli na pierś głowę
I szli powoli. Przed pochodem owym
Dwaj starcy: jeden, jak sobie Jehowę
Wyobrażamy — — kto drugi był, nie wiem?...
Orszak w milczeniu sunął się grobowem
W jakąś głęboką i ciemną ulicę...
Nagle Jehowa wzniósł w górę prawicę
I dym się skłębił gęściej nad żarzewiem,
A płomień buchnął złotym słupem w górę,
Miecąc na wieżę blasków błyskawice
I na strop ciemny rzucając purpurę.
A trąby do ust podnieśli ci, którzy
Przy ogniu stali i mosiądz zadźwięczał,
Jak głos zdaleka nadchodzącej burzy,
I w ciszy nocnej grzmiał głucho i jęczał.
Wtem tłum ów nagi pchnęła jakaś siła
Ku płomieniowi — — ale starzec wtóry
Podniósł powoli prawicę do góry
I groźna gędźba trąb się uciszyła,
Albowiem starce odimali owi
Usta grzmiącemu trąb swych mosiądzowi.

I spadł słup ognia, a ci obnażeni
Wstecz się cofnęli od wrących płomieni.
Lecz znów wzniósł rękę Jehowa do góry
I znów tak samo trąby zahuczały
I pierwszy obraz powtórzył się cały — —
I rękę dźwignął znowu starzec wtóry
I wstrzymał wszystko... Lecz gdy po raz trzeci
Jehowa znak dał, a w oczach mu świeci
Skra złowróżąca: starzec ów już ręki
Nie wzniósł i spojrzał tak ku orszakowi,
Jakoby rzec chciał: Oto się już moja
Moc wyczerpała... A wraz ognia pęki
Strzeliły w górę, aż zalśnił szczyt wieży
Od iskrzącego błyskawic zawoja,
A blask na blachach kościelnych się mrowi,
Jakoby na nie padały ogniste
Krople deszczowe... Trąby się ozwały,
Kłócąc milczenie nocy uroczyste — —
Huk ich rozległy w przestwór ciemny bieży
I świat napełnia druzgoczącym grzmotem — —
Słychać, jak w dali drżą pękając skały,
Domy i kościół walą się z łoskotem,
A tłum ów nagi, nagle naprzód pchnięty,
Runął w płomieni skłębione odmęty.
Zaś ci, co byli za Jehową, chcieli
Jakoby biec tam, gdzie w ziemnej gardzieli
Ich nadzy bracia w płomieniach ginęli...
Ale Jehowa rozpostarł ramiona,
A moc z nich biła wielka, nieskończona,
Nieprzejednana i niezwyciężona...
I spuścił ręce i w ulicę ową
Wiódł niemy orszak... Tu wszystko ściemniało — —
Ogień gdzieś zniknął z nagą rzeszą całą,
Tylko widziałem jeszcze za Jehową

Idący orszak długo i słyszałem
Jeszcze trąb grzmoty brzmiące coraz ciszej — —
Aż wreszcie nic już nie mąciło ciszy
I ciemno stało się w przestworzu całem.

PRZEBUDZENIE JEHOWY.

Jehowa się przebudził i spojrzał dokoła:
Wszystko było, jak wówczas, gdy zamknął powieki
Przed czasem, który tylko On sam zmierzyć zdoła.

Wszystko znalazł w porządku, co stworzył przed wieki:
Światy szły po wieczystej, wytkniętej im drodze,
Idąc wieków miliardy bez Jego opieki.

Rozprężył swe ramiona i uczuł, że wodze
Ruchu wziąwszy, wstecz mógłby zwrócić światów kroki,
Jak swój bezwolny, cichy szyk zwracają wodze,

Lub jak wicher wstecz cofa płynące obłoki;
Uczuł, że mógłby drugie wzbudzić w próżni życie,
W nowe kształty przyoblec dawnych istnień zwłoki,

Albo wszystko bez śladu zniszczyć we wszechbycie,
Gdyby chciał!... Ale wszystko dobrem Mu się zdało,
I rad z Siebie, oczyma wodził po błękicie.

Wtem przy słońcu planetę spostrzegł ciemną, małą,
Dawno wygasłą. Wówczas z oczu złowróżące
Skry Mu poszły, że w ogniach całe niebo stało.

I rzekł do Swojej duszy: Oto złe roztrącę!...
I pchnął planetę — — jako kula kryształowa
O rozpalony metal, rozprysła o słońce.

Zasłoń ramieniem pierś Twą, nim zaśniesz, Jehowa,
Niech złom planety w serce się Twoje nie wwierci,
Bo każdy pył jej w sobie tyle jadu chowa,

Że, nieśmiertelny, próżno z bólu zwałbyś śmierci!...

GENIUSZE.

Bezduszna, ciemna, bezmyślna ludzkości,
Czembyś ty była, gdyby nie geniusze,
Co blaskiem swojej świecą ci jasności,
Myśl ci swą dają i dają ci duszę?

Jak oceany tyś jest nieprzejrzane,
Martwe pustkowie wodne we wszechbycie —
Oni, jak wyspy po wodach rozsiane,
Martwym pustkowiom nadające życie.

Was ja jedynie wielbię, mocne duchy,
Co ujarzmiacie miliony swą siłą,
Świat okuwacie w woli swej łańcuchy
I sterujecie nędzną ziemską bryłą.

PODCZAS BURZY.

Wciągam wicher, jak rumak, gdy na step wybieży
Wicher od Tatr wiejący, bystry, ostry, świeży — —
Zda mi się, że potargam wszystkie ziemskie sidła,
Że mi u ramion rosną długie orle skrzydła
I poniosą mię w przestwór... Słońce się zachmurza,
Śmignął z chmur wąż płomienny, zachuczała burza,
Wodospadem deszcz lunął. W tym olbrzymim szturmie
Wichru, deszczu, piorunów: duszy mej muzyka
Budzi się — głos w niej zagrzmiał, jak w wojennej surmie,
Melodya ją napełnia szalona i dzika,
A skrzydła orle, co mi u ramion wyrosły,
W niszczących potęg chaos duszę mą poniosły.

EVIVA L'ARTE!

Eviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
Cóż, kto pieniędzy niema, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi —
Zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunięcia nie warte:
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzykniem: gdy wszystko nic warte,
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nad słońcem, nam, królom bez ziemi!
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanemi —
Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy co warte?
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ognie przez Boga samego włożone:

Więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nic nie warte:
Eviva l'arte!

SŁUCHACZE.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
Gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie,
W otęczy ołowianej, mglistej,
Posępny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche
Płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
Po nad nią leżą pnie wierzb suche,
Księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błądzę — —
Szumią w dal wielkie fale senne,
I połyskują, jak mosiądze,
Wlokąc księżyca łzy promienne.

Rozmarza mię fal monotonność,
I mglistość w ciemni księżycowa,
I ziół nadwodnych nocna wonność,
I z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś po za mgłą wstają szarą
Cienie, wolno się ku mnie wleką,
I zasiadają całą chmarą
Na pniach wierzbowych ponad rzeką.

Wsłuchują się w mą pieśń, zadumy
Pełną, w otchłanie gdzieś lecącą,
Pieśń, której słowa są jak szumy
Wód, co się w głuchych grotach mącą.

Wsłuchują się w mą pieśń, bezdennej
Tęsknoty pełną, pieśń, co płynie
W mistycznych uczuć bezimienny
Świat, i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżyca mgłych posnowach
Łzy, co spływają im na lice:
Te cienie czują w bladych słowach
Krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi
To nieujęte i bezkresne,
Co konwulsyjnie w niej się kłębi,
Wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów,
Widzących każde serca drgnienie — —
Słucham ich cichych, smutnych płaczów,
I pieśń ma łamie się w westchnienie.

ŻYCIE.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
Czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

Biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
Młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łanów, z wód, z wysokich skał,
Z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
Bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
Dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
I w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
Straszna przede mną stała upiorzyca,
Z piekielnych kędyś wyzionięta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
A oczy miała żarłoczne, jak sęp,
Którego nigdy i nic nie zasyca.

W zmierzwionych włosach gadów wił się kłęb,
Ohydna, straszna weszła mi na drogę,
Odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę
Chciałem uciekać, ale woli wbrew
Czułem, że nóg mych poruszyć niemogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
Chciałem poczwarę usunąć przebojem
Z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
Którem mi świata uśmiechał się bóg,
Za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! Ruszyć nie mogłem mych nóg,
A wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
Pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
Że nie potrafię ujść tych strasznych rąk,
Że mnie przyciśnie poczwara do łona

I wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
Zapładniać będę musiał tę ohydną
I w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną
Jęła obnażać swój okropny kształt
I w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
A oczy moje zpod powiek skostnienia
Patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyciła mnie w swe uściśnienia — —
O dziwna, straszna ironio! Jam czuł
Żądzę wśród wstrętu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł
I pot mi czoło zlewał już obficie,
A jeszczem nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: „Życie“.

HYMN DO NIRWANY.

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak i w niebie
Nirwano!
Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utrapion srodze
Nirwano!
I niech już więcej w jarzmie krwawiącem kark nie chodzę
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga
Nirwano!
Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza
Nirwano!
I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza
Nirwano!
O przyjdź i dłonie twoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech sycę
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć muszę
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę
Nirwano!

Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przedemną bożyszcza i ołtarze
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych i słabszych śmierć nie ciśnie
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi nie błyśnie
Nirwano!
Niech otchłań klęsk i cierpień w łonie się twem pogrzebie
Nirwano!
I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak i w niebie
Nirwano!

HYMN DO MIŁOŚCI.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
Miłości.
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
Prócz samej żądzy życia; duszą duszy
I sercem serca życia tyś jest
Miłości.
Jeśli najwyższem szczęściem zapomnienie,
Bezwiedza i niepamięć własnego istnienia;
Toś ty jest szczęściem szczęścia, ty co dajesz
Omdlenie duszy i omdlenie zmysłom,
I myśli kładziesz kres upajający
Miłości.
Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
Toś ty największem dobrem, najsilniejsze
Ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
Pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań,
Święta potęgo
Miłości.
Jeśli pragnienia są jedyną ową
Poręczą, która chroni
Od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;
Jeśli są jedynym
Mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
Jeśli jedynem są lekarstwem, które

Broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
Pogardy świata i od samowzgardy:
To ty, o matko pragnień, jesteś ową
Poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
Zbawczynią ludzi,
Miłości.
Czas idzie i zmieniają się wiary,
Bóstwa w proch upadają, jedne po drugich,
Dziś czczone, jutro deptane,
Przechodzą przed oczyma ludzkości,
By więcej nie powrócić.
Ty trwasz, wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
Pierwotna, tak jak one,
Jak one tryumfalna,
Nad wszystko wyniesiona, niepokonana
Niczem i nigdy, tak, jak one,
Pierwotna, dzika potęgo
Miłości.
Wdzięku, piękności natury,
Kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś, jak rama
Do obrazu, jak otęcz promieni
Skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
Wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękicie,
Wobec ócz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
W wiosenne rano,
Wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
Pod gęstemi zaplotami bluszczów,
Wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
Od blasku słońca,

Wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
Gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
Kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
Smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
Kędy obłoki lotne i powiewne,
Wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
Wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
Wobec jej białych bioder, spływających
Cudowną linią
W odurzający wzrok, dech wstrzymujący
Kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
Czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
Z za gór dalekich;
Uroku jezior, co się nagle jawią
Pośród skał, senne,
I tej zieleni złocistej, ze szczytów
Widzianej w dali,
Wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
Wobec jej smutku?
Kędyś wesele letniego południa
Przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
Zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
O nieznoszeniu niesprawiedliwości,
Wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
Przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
Co jest poznanem, albo niem być może,
Wobec pragnienia poznania wskróś duszy

Ukochanej kobiety?
Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
Miłości.
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
Ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
Wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
Miłości.

MARZENIE.

Zdaje mi się, żem gdzieś dawno,
Przed tysiącem wieków może,
Mieszkał w kraju jasnym, ciepłym,
Otoczonym w krąg przez morze.

Lekkim wiatrem wolno, sennie
Kołysane długie liście
Z drzew zwisały tam wysokich,
W słońcu mieniąc się srebrzyście.

Kędy spojrzeć, morze kwiatów
Nieprzejrzane, nieskończone,
Morze woni i kolorów,
W którąkolwiek spojrzeć stronę.

Tyle woni, że obłoki
Odurzone od niej płyną
Ponad ziemią wolno, sennie,
Jasnych, ciepłych sfer głębiną.

Tyle woni, że gdy fala
O brzeg bije dźwięczna, cicha,
To się cofa wolno, sennie,
Zda się, że woń w siebie wdycha.

Gdzieś daleko widać góry,
Błękitnieją w sinej dali
Swe zielono-złote stopy
W ciemno-modrej kąpiąc fali.

W szafirowem, lśniącem niebie
Słońce świeci się promiennie,
I po morzu ciemno-modrem
Blask rozlewa wolno, sennie.

Cicho w okrąg — — cichy spokój
Śle pogodny uśmiech ziemi,
Morzu, niebu... My oboje
W owej ciszy marzym niemi.

Najpiękniejszej z wszystkich kobiet
Do mej piersi tuląc łono,
Wolno, sennie płynę wzrokiem
W przestrzeń morza nieskończoną...

NARODZINY AFRODYTY.

Złocisty-to był dzień. Błękitne zadumanie
Objęło cały świat. Na modrym oceanie
Słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
Cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca,
Różany płonął kwiat, srebrniała lilia drżąca,
Nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
Płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w przestworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem drżącem
Potrącił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem,
Zadrgała senność sfer i kwiaty zaszeptały,
Niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
Oczekiwanie — — cud jakiś się dziwny iści, — —
Z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
Dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
Zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
W tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
Wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kryształu,
Nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
Zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
Drżeć przestał róży kwiat, liliowe ścichły szmery,

Jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona
I w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
I naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
Potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
Znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
I boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
A świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
Blask ją oruszać biegł, woń obcierała z rosy,
U nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
Zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
Ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
Całują piersi jej i szyję i ramiona,
W rozkosznych kładą się zagięciach i lubieżne,
W lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
Zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem,
Ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
Złocisty szafir ócz owieją balsamiczne,
I omdlewając już do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną,
I naga stała tam, a dziwna jej potęga,
Aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga,
I zadrżał wszeświat w krąg, bo z morskich głębokości,
Sprawczyni wyszła mąk najsroższych dla ludzkości.

NARODZINY WIOSNY.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny młodej,
Najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody,
I powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
Uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
I rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
A w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną. —
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
Bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje,
I rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
I naga polem szła bogini złotogrzywa,
A kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
Zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
Pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
I uśmiechnęła się do złocistego słońca
Bogini, córa nieb, kwiatami władająca.
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
A kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
I wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
A wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo. —
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
I z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
I rozkołysał drzew gałęzie i konary,
I słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,

I długo słuchał bóg w powadze i zadumie
Odwiecznych baśni w tym rozkołysanych szumie. —
Brodatych Faunów huf i śnieżne Nimfy, społem
Za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem,
Na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
Przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada,
Świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc miłosna
Lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

LEDA.

Czy znacie Ledę Michała Anioła
W skrzydłach łabędzia z rozkoszy mdlejącą,
Nagą, z dyademem u boskiego czoła?

Świat cały piersią oddycha gorącą,
Cicho — — i tylko dalekiego morza
Słychać gdzieś falę o falę dzwoniącą.

Kaskady blasku rzuca słońca zorza,
Jak opar z wody, woń wznosi się z kwiatów
I mgłą rozwiewną płynie na przestworza.

A lśniąc od słońca płomiennych szkarłatów,
W przecudne linie gnie się nagie ciało,
Na ziemi leżąc pełnej aromatów.

I co się komu kiedy marzyć śmiało
W snach najgorętszych o kobiecem pięknie:
Tu ma wcielone ręką mistrza śmiałą.

A każdy członek, zda się, w oczach mięknie
Od palącego rozkoszy nadmiaru
I w cichym ruchu rzeźbi się przepięknie.

Nagości owej promiennego czaru
W żadnem się słowie wypowiedzieć nieda:
Myśli się mroczą od zmysłów pożaru

I od rozkoszy, jaką czuje Leda.

ONA.

Księżyc wśród białych chmurek, któremi wiatr miota,
Światła zmienne, płochliwe wywołując tony;
Oceanu nęcąca, mistyczna ciemnota;
Zorza, co wzrok olśniewa o południu złota;
Nieokreślny blask gwiazdy w wodzie odstrzelonej;

Ranek promienny, ciepły, pogodny, radosny,
Rozkosz ziemi, powietrza, wody i błękitu,
Pełen woni róż, lilij, heliotropu, sosny,
Upajający ranek pierwszego dnia wiosny,
Budzący bezmiar marzeń, tęsknot i zachwytu;

Limba, co nad jeziorem chyli się o zmroku
I spogląda w głąb dumna, cicha, zamyślona,
Wsłuchana w melodyjny, senny szum potoku
I od fali ku gwiazdom mglejącym na stoku
Nieskończonych błękitów patrząca: to Ona.

DO NIEZNAJOMEJ.

Niewiem, kto jesteś — — ledwo kilka razy
Widziałem ciebie — — za każdem widzeniem
Pierś ma się dziwnem podnosi wzruszeniem,
Serce szalonem poczyna bić tętnem,
A usta moje palą te wyrazy,
Którebym tylko w omdleniu namiętnem,
Patrząc ci w oczy, wymówił westchnieniem.

Rozkosz i boleść czuję, gdy cię widzę,
I zdaje mi się, że cię kochać muszę,
I zdaje mi się, że cię nienawidzę — —
Przeklątbym ciebie i oddał ci duszę.

Na myśl rozkoszy, jaką twój dać może
Uścisk dziewiczy, oszaleć się boję — —
Szukając ciebie, spotkania się trwożę — —
Trucizną są mi cudne oczy twoje,
Oczy błękitne i senne, jak morze.

Na samą myśl tę, gdy cię półomdlałą
Widzę w snach moich z lawy i płomienia,
Gdy dłutem z ognia rzeźbię twoje ciało,
Każdy kształt ciała, co gdy opierścieni,

Zmysły w huragan i krew w burzę zmieni;
Na samą myśl tę blizkim jest omdlenia.

Tonąc w srebrzystym ócz twoich błękicie,
Pod stopy twoje rzuciłbym me życie,
A razem żądzę uczuwam szaloną
Zabić się jednym oczu moich błyskiem,
Bo wolałbym cię śmierci poślubioną
Widzieć, niż z innym splecioną uściskiem...

ZACISZA.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
W jakiemś przedziwnie słodkiem upojeniu;
Gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
Jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
Gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
Lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy,
Jak dwa gorące promienie słoneczne,
Łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
Wpija pragnące usta, rozpalone,
Gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy,
I z biódr i piersi zrywa się zasłonę.

Są pocałunki, które serca drgnienia
Tamują w piersi odetchnąć niezdolnej,
Rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej,
Najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy;
Są nieskończone zmysłów upojenia,
Bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy,

Są półdziecinnej natchnienia pieszczoty,
Drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,

Jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydliwe,
Półwidne lice jawiło się Psychy,
Z przejrzystym różem tłumionej tęsknoty,
Z zdjętemi z jasnych błękitów uśmiechy,

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
Wizye gwałcące naturę, męczeństwa
Przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa,
Wśród szału żądzy okrucieństw popędy,
Jakiejś pieszczoty nieludzkiej, straszliwej
Pożądań wściekłe, spienione obłędy.

Są te zacisza, gdzie słońca promienie
Trącają kwiatów tęczowe kielichy,
A z kwiatów w przestwór zamyślony, cichy
Woń się unosi falującym wzlotem,
Niosąca, zda się, listeczków dzwonienie,
Trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, zkąd w modre błękity
Źrenic omdlałych spojrzenia się wznoszą,
Gdzie się upaja dosytu rozkoszą,
Wspomnień zachwytem, wyczerpań niemocą — —
Gdzie całą słodycz wyssawszy z kobiety,
Przed śmierci niedrży się wstającą nocą.

WSPOMNIENIE.

Zamykam czasem oczy, w wyobraźnię mienię
Całą moc mojej duszy i złudzony, chwilę
Słyszę jej ciche słowa, czuję piersi drżenie,
I choć wiem, że sen spłoszę przez powiek wzniesienie,
Wznoszę je — i napróżno już potem je chylę.

Tak wędrowiec, gdy okręt go z wichrem w zawody
Niesie precz przez ocean bezkreśnie szeroki,
Gdy oczy zamknie, widzi ojczyste zagrody
I choć wie, że sen spłoszy, gdy spojrzy na wody,
Patrzy — — i w żal się grąży, jak bezdeń, głęboki.

LUBIĘ, KIEDY KOBIETA...

Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
Kiedy w lubieżnem zwisa przez ramię przegięciu,
Gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie,
I wargi się wilgotne rozchylą bezwiednie.

Lubię, kiedy ją rozkosz i żądza oniemi,
Gdy wpija się w ramiona palcami drżącemi,
Gdy krótkim, urywanym oddycha oddechem,
I oddaje się cała z mdlejącym uśmiechem.

I lubię ten wstyd, co się kobiecie zabrania
Przyznać, że czuje rozkosz, że moc pożądania
Zwalcza ją, a sycenie żądzy oszalenia,
Gdy szuka ust, a lęka się słów i spojrzenia.

Lubię to — i tę chwilę lubię, gdy koło mnie
Wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie,
A myśl moja już od niej wybiega skrzydlata
W nieskończone przestrzenie nieziemskiego świata.

POD WRAŻENIEM.

Kiedy na oczy srebrno-szafirowe
Spuści powieki i na wznak upadnie
I leży miękko, sennie i bezwładnie,
Lekko schylając ku ramieniu głowę —

A płomień gazu, co nad nami płonie
Półnagą stroi ją w światła i cienie,
I ledwo znać jej białej piersi tchnienie
Widnej w przejrzystych koronek osłonie:

Wówczas ma w sobie taki urok boski
I takie dziwne piękności i czary,
Że, zda się, jakiś malował ją stary,
Anioły w duszy noszący mistrz włoski.

ZAWÓD.

Wykołysałem cię wśród fal
Mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną,
Śniłem cię cichą i pogodną — —
Ah! Jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
Gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
Byłaś mi, dziewczę, tak jedyna — —
Ah! Jak mi żal, jak żal...

Wkoło szumiały smreki w dal
Jakiemś modleniem cichem, wiecznem —
Byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
Ah! Jak mi żal, jak żal...

MORZE.

O morze, nieskończone, ciemne, ciche morze,
Zda mi się, że gdy wzniosę powieki, w twe głębie
Przepastne i bezdenne oczy me zagłębię,
I po wielkim je, pustym powiodę przestworze.

Zda mi się, że zza krańców twych błysną mi zorze
Różowiąc siną falę gdzieś na świata zrębie,
I że powiodą mewy, okrętów gołębie,
Myśli me tam, daleko, przez wodne bezdroże.

O morze! Jakże często zda mi się, że łowię
Uchem szum twych ogromnych wód i w tej muzyce
Słyszę mistycznych epok głuche tajemnice...

O morze! Jakże często zda mi się, że płynę
Przez twoją senną, ciemno-błękitną głębinę
Kędyś w nieskończoności nęcące pustkowie...

NIESKOŃCZONOŚC.

I.

Wsłuchuję się w szept mgławic wiszących w bezbrzeży,
Wpatruję w zadumaną niezmierność błękitu,
Byłem w odwiecznych grotach, pełnych stalaktytu
I skamieniałych szczątków praroślin, prazwierzy....

W pustą bezdeń się rozległ odgłos dzwonu z wieży — —
Ścigam go uchem — — zda się, że hen, do zenitu
Dopłynął i w bezkresach rozlał się niebytu
I wiecznie brzmi, falując coraz dalej, szerzej...

Echo lśnień, przez słoneczną rzuconych czerwoność
Na kryształ wód, odbite, wraca w wielkie tonie
I wiecznie kędyś w otchłań pustą lecieć będzie...

Słucham, patrzę — i myśl ma w zadumaniu tonie,
Idzie, kędy przestrzeni i czasu krawędzie
Schodzą się — i zanurza się w głąb, w nieskończoność.

II

Więcej, niżli natury pierwotne piękności,
Więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
Więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
Ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w senności
Sfer przestrzennych, w dróg mlecznych rozwiei świetlanej,
Czuję cię w mojem własnem pragnieniu nirwany,
I wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zda mi się, żem spokojnym, jesiennym wieczorem
Stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
Kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb ciemną —

Patrzę — — blady księżyca krąg błyszczy podemną,
A otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
Że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

III.

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne głębiny
Nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
Szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
Śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
Na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
Śnieg, co tam w zimnym blasku słońca martwo płonie,
Głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk po dachu krawędzi, bez trwogi,
Jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera,
Szedłem przez najurwistsze, najszaleńsze drogi

Patrzeć na martwość, co się w górach rozpościera — —
W owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
Szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

ALBATROS.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
Ciemno-modra płaszczyzna nieruchomo leży;
Na fali, zkąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
Siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
Marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
Na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
W bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny;
Zda się, w kryształ promienny ściał się krąg słoneczny
I wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
Nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna,
Leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni — — sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się podniesie,
Wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
Rzuci sie w pierś orkanom huczącym straszliwie
I ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
Usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne,
I patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
Słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

NA MORZU POLARNEM.

Śnieg rozciągnięty w przestrzeń, pustą, nieskończoną
Skrzy w słońcu i tysiącznym odblaskiem się mieni,
Jakby rozprysł się pod nim pył z drogich kamieni,
W którym rozżarzonego skry metalu płoną.

Biały niedźwiedź powolnym, ciężkim idzie krokiem
Błyszcząc jasno; cień za nim ciemny, długi sunie —
Idzie ku słońca świetnie odstrzelonej łunie
Od gór lodowych, widnych hen pod nieba stokiem.

Tu bliżej, czyliż jodły wzrosły w śnieżnej bieli,
A miast gałęzi sople zwisły im błyszczące
Z konarów?... U stóp jodeł ludzie, patrzą w słońce,
Ale tak nieruchomi są, jakby posnęli...

To nie jodły, to maszty obmarzłe korwety,
Co pruć nie mogła ściętej w lód dokoła fali:
Ci ludzie na pokładzie nie śpią, lecz skostniali
Padli tam, zda się skórą pokryte szkielety.

Pootulane w futrach osrebrzonych szronem
Sztywne posągi, twardem dłutem śmierci kute — —
Snać opuścili mroźną, bezchlebną kajutę,
By patrzeć, czy lód taje pod niebem zognionem?

Cisza i spokój śmierci... Od wschodu, z ukosa,
Ogromne słońce, świecąc straszliwie jaskrawo,
Na śniegi i na okręt bucha blasków lawą
I płomienistą łunę wlecze przez niebiosa.

II.

Z TATR.

1.

WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
Światła się zlewa mgła przezrocza,
Na senną zieleń gór.

Szumiący zdala wsród kamieni,
W słońcu się potok skrzy i mieni
W srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
Wśród ciszy drzemie uroczystej
Głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli,
Pod słońce się gdzieniegdzie bieli
W zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej
Spiętrzone wkoło skał rozłomy
W świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
Srebrzysto-turkusowa cisza
Nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: pode mną
Przepaść rozwarła paszczę ciemną —
Patrzę w dolinę w dal:

I jakaś dziwna mnie pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica,
Niewysłowiony żal...

2.

W BIAŁEM.

Po cichych smrekach o ciemnej zieleni
Kładło się słońce złotemi plamami;
Pogodny błękit wisiał ponad nami
Pełen przymglonych słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu po zrębach kamieni
Spieniony potok huczał kaskadami;
Czasem ktoś krzyknął — echo głosu mami,
Jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błądzącej trzody po uboczy
Spiżowe dzwonki dźwięczały w przezroczy;
Czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

A czasem było tak cicho i błogo,
Jak gdyby szczęście, idąc pustą drogą,
Tu, w to bezludne wstąpiło zacisze.

3.

LESIE.

Wolno i sennie chodzą
Po jasnem tle błękitu
Złocisto-białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask z ukosa,
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
W srebrne objętej ramy
Przez opalowy strumień,
Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni,
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
Po łąk zielonym łanie,
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

4.

O ZMROKU.

O cichym zmroku u wejścia w dolinę
Leżę i patrzę na błękitno-sine,
Czyste i senne, w bezmiar rozesłane
Rozwieje niebios... Gdzieś, na skalną ścianę
Padł spływający zwolna sinem niebem
Blask i skalistym w dół sączył się żlebem,
I był podobny do olbrzymiej róży
Z łodygą złotą. A kędyś daleko
Beskidem taśmy słoneczne się wleką,
Blado-różane, przez łąki i lasy,
I liliowo-modre wiszą pasy,
Owstężające błękitne zamrocza.
Był wiatr. Las czarny, co porósł gór zbocza,
Nad głową moją szumiał, a gdzieś nizko
Szumiała woda — — całe uroczysko
Przejął czar dziwny... Ciche mgły wieczoru
Schodziły z nieba głucho i powoli
I ogarniały całą głąb przestworu
I Beskid, w bladej światła aureoli.
Dziwna, cudowna tajemniczość nocy
Już twarz swą, zda się, chyliła ku ziemi,
Ponad smrekami sennie szumiącemi
I blaskiem, który płynął ku północy.

I coraz ciszej było, tajemniczej
Pośród tej skalnej, ciemniejącej dziczy,
A dusza moja, w bezsłownej zadumie,
Cała się w leśnym pogrążała szumie,
I w mglisty wąwóz płynęła pod skały
I przez przełęcze, przez mroczne doliny,
Szła na dalekie w księżycu równiny
I dalej, w bezkres... A mroki gęstniały
I coraz ciszej, coraz było ciemniej,
Coraz uroczej i coraz tajemniej.

5.

PRZY MORSKIEM OKU.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty,
Jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
Razem runęły: jeszcze ciężar ich
Byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
Na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
Płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
Ale najdziksza górska nawałnica
Tak nie zatarga twoich głuchych fal,
Jak duszę targa daremna tęsknica
I żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka,
Wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;
Nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
Nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
Tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
Pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

6.

W TURNIACH.

Nie pierwszy uciekałem w góry sam przed sobą,
Przed smutkiem żrącym duszę, troską i zgryzotą,
Przed wyobraźni piekłem, pamięci żałobą.

Biegłem i wyciągałem ramiona z tęsknotą
Ku mym górom ojczystym, ku chmurnej przestrzeni,
Co w tej chwili bezdenną zdawała się grotą.

Biegłem po ściętych zboczach, jak ludzie szaleni,
Umykało zpod stóp mych przepastne urwisko,
I wpadłem w dziką pustkę milczących kamieni.

Rzuciłem się tym skałom, co nad mą kołyską
Wznosiły harde czoła, na piersi z granitu,
Jakbym chciał być mej ziemi serca sercem blizko;

Jakbym chciał jej wyskarżyć całą boleść bytu,
Całą Gehennę złego, w którem życie tonie,
Choć wiem, że pierś ta martwą jest, jak pierś błękitu.

I do chropawych głazów przyłożyłem skronie,
Dumne, jak wierchy w chmurach, a takie zbolałe,
I jak dziecko na martwej matki ległem łonie,

A smutek mój był większy, niźli Tatry całe!...

7.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(Na Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

8.

NA „ŻELAZNEJ DRODZE“ POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
Fioletu i ponsu plamy gorejące,
Na modro-siny granit kładą się powoli;
Różowią się niebiosów błękitne roztocze,
Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmięszane,
Na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
Z którą wietrzyk swawoli,
Sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane,
Pada światło słoneczne na cichą polanę,
Gdzie wśród jasnej zieleni,
Tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
Błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
Niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
Za łanami zbóż sennych, o blasku złocistym,
Czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistém.
Cisza. Patrzę przed siebie,
Źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
Idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
Płyną po nieba głuchem, niezmiernem przestworzu,

Leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
Gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
Jakiś smutek, żal dziwny — i takie pragnienie
Czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
Że więcej bym owinąć nie pragnął w ramiona
Tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
Nieskończona tęsknica
Oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
Na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
Mistycznem i kryjomem,
Za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogromem,
Albo stanie się kiedyś po wieków powodzi,
Lub dziś koło mnie może,
Nieznane mi, przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
Nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha,
Wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
I duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,
Wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty — ginie,
Nicestwieje wessany w bezdenie wszechbytu,
Co jak olbrzymi polip, osnuł go milionem
Ramion, splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
Przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
Schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
I wielka melancholia nocy zwolna spływa,
Zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,
A myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
I na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

LIST HANUSI.

(Z epicznego poematu na tle podhalańskiem)

„Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela[1])
Ten list do tobie, a pisęcy, płacę.
Świat mię calućki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
Kraju i cy się tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
Mój złociusieńki, tobyś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego niewi, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom wciągle w serce kłuje
I niewiem, ka sie me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi się, co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk chyba ja sama wolała
Lezeć hań, niźli tak płakać daremno,

[1]) ztąd — (tu ztela).

A kie spać legnę, to poduska cała
Mokra, kie wspomnę, jakeś ty spał ze mną.
Chwilo jedyna, kaześ się podziała,
Kieś ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
I kieś mię objon tak serdecnie w rence,
Jakbyś przy miejskiej lezał ka panience.

Ja znam, ze biedna ja prosta dziywcyna
Góralska, o mój ty najsłodsy, złoty,
To nie dla tobie, dla pańskiego syna,
Ale juz ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
Nijakiej nimam do jadła ochoty,
Ani do tańca. Chłopcyska się śmiejom,
A moje siwe ocy wciaz łzy lejom.

Kie na odwiecerz[1]) przed chałupom stanę,
Pojźrę, jak słonko za wirchy się kryje,
Wspomnę, jak my się pod tę samą ścianę
Kryli: to zal mię mało nie zabije,
A serce moje, jakoby pijane,
Tłuce się w piersiach. Tęca wodę pije
Z rzeki, ale tych łez wypić nie musi,[2])
Co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Jasiek tu chciał mnie brać, a mama z tatą
Straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
Zimom, a zima przódziej latem stanie,
Niźli ja bedem jego. Więc się na to
Ozgniwał i rzekł, co on mię dostanie,
Chebaby w niebie miesioncek zaginon,
Abo Dunajec w górę się przewinon.

[1]) o zmroku — (na odwiecerz).
[2]) niepotrafi — (nie musi).

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody,[1])
Takek cię ino syćko wyglondała,
A tak mi było, jak rybce do wody,
Jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendy potajały lody
I śnig juz w turniak wyginon bez mała,
A tobie nimas jednako nikany,[2])
Mój złociusieńki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
Abo co inse, od cego chroń Boze.
Nie zabacujze tak swojej dziywcyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
Ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niech cię Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję — Anna".

---

[1]) Boże Narodzenie — (Gody).
[2]) nigdzie — (nikany).

NA POGRZEB TEOFILA LENARTOWICZA.

Znowu Ci Polsko ubył syn
Z najlepszych Twoich synów — —
U obcych progów kędyś tam
O łanach naszych śpiewał nam,
Sercem miłował prosty gmin,
Tęsknił doń zpod wawrzynów.

Więc niech Mu lekkim będzie sen
Nad wodą Wisły siwej — —
Grób Mu nie w lauru wieńczcie liść,
Ale nań rzućcie wierzby kiść,
Polne konwalje, chłopski len
I kłosy z chłopskiej niwy.

U spracowanych Jego stóp
W noc cichą i miesięczną
Niech siądzie koło naszych dziew,
Niech Mu zawiodą tęskny śpiew,
Niech na fujarce gra Mu chłop
Pieśń prostą, smutną, dźwięczną.

Duch jego przyjdzie słuchać nut,
Co mu najmilsze były — —

Spojrzy na łan pszeniczny wkrąg,
Odetchnie wonią polskich łąk
I uraduje się, że lud
Serce mu śle w mogiły...

KANTATA.

NA ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA.

(Napisana po rozwiązaniu krakowskiego konkursu).

Szum ty morze z obu Polski stron,
Szum ty rzeko Polska i ty lesie,
Wiatr z gór naszych tu, przed wieszcza tron,
Pieśń tę poniesie.

O spiż uderzy
I jako grzmot
W świat się rozszerzy
Jej orli lot.

Oto hymn godny Jego chwały,
Jego tryumfu godny dzwon,
Hymn, co rozbrzmiewa na świat cały,
Niebiosów trąca skłon.

* * *

Hej ty wichrze z skrzydły sokolemi
Leć na pola odległe tam precz,
Gdzie obrońcy macierzystej ziemi
Piersią padli na sztandar i miecz —

Garść prochu przynieś z krwią zalanych błoń,
Na Jego rzuć ją skroń.

* * *

Hej ty wichrze z skrzydły sokolemi
Leć na łany naszych polskich zbóż,
Weź garść ziarna z krwią przesiąkłej ziemi,
U Jego stóp ją złóż.

* * *

Przeszłe i przyszłe pokolenia,
Całyś ukochał naród Twój,
Za miljony czuł cierpienia,
Boga wyzwałeś za nas w bój:

Więc święto Twoje czczą miljony,
Miljony hołd składają Ci,
Na sady polskie i zagony
Twe nieśmiertelne imię brzmi.

Cześć Ci o cześć!

DO...

I.

Czyś ty snem była?... Czy jak gwiazda blada,
Co pośród mgławic niknie i przepada,
Znikłaś, przepadłaś?... Spłynęłaś, jak fala,
Co się przez chwilę w księżycu skrysztala?...
Jak woń, na wietrze niesiona od sadu
Precz uleciałaś, zginęła bez śladu?...
Czyś ty snem była?... Jakaś wizya złota,
Jakieś marzenie z jezior szmaragdowych,
Z śródleśnych zacisz i z lasów jodłowych,
Z błękitnych zamgleń, z miesięcznego złota
Powstała cudem?... Czyś w słońca uśmiechu
Przemknęła, jako pył kwiatowy złoty?...
W tatrzańskich kaskad przebrzmiałaś mi echu,
Nie zostawiając nic, oprócz tęsknoty?...

II.

Tyś nie umarła, a jednak zaiste
Dla mnie zagasły twe oczy świetliste,
Dla mnie są zimne twe usta, nie płonie
Dla mnie krew ogniem w twojem młodem łonie.

W pamięci mojej złożyłem cię grobie
Taką, jak byłaś — — gdy myślę o tobie,
Widzę cię taką, jak niegdyś, dziewczyną — —
A lata płyną, puste, głuche płyną.

III.

W pamięci mojej stanęła tak blada,
Jak widmo senne,
A przed tem widmem cały świat upada
W głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
W głębie bezdenne,
Przed jednym bladym i znikomym cieniem,
Jak widmo senne.

IV.

Zdaleka patrzą na mnie twe oczy
Błękitne, duże,
A chociaż takie są jasne, jak słońce,
Powiek nie mrużę.

Powiek nie mrużę i nieolśniony
Tym blaskiem stoję,
Bo jak lód zimne, choć jak słońce, jasne
Są oczy twoje.

V.

Coraz to większy czar mnie uderza
Z lic twych obrazu,

Patrzę weń często, często i długo
Z tęsknotą bez wyrazu.

I z serca mego w twoje bym serce
Krew przelał, miła,
Własnem mem życiem chciałbym to sprawić,
Abyś mi ty ożyła.

VI.

Słyszałem ciebie... zdało mi się może,
Lecz głos twój dzwonił mi chwilę w przestworze,
Podobny woni, ziół i kwiatów echu,
Co w przestrzeń leci w powietrznym oddechu.

Może bez wiedzy twej, we śnie, w odległy
Kraj ku mnie myśli twe cicho pobiegły,
Jak te jaskółki, co niekiedy wrócą
Zobaczyć dawne gniazda, które rzucą.

VII.

Zda mi się czasem,
Jakby mi na twarz padało to słońce,
Co w ową wiosnę świeciło przed laty
Dziwnie promienne — —
Jakbym tak samo, jak wówczas pachnące
W ogrodzie naprost mych okien czuł kwiaty,
Kwiaty wiosenne...

Zda mi się czasem,
Że mi ta wiosna czarowna powraca
I wszystkie moje umarłe marzenia
Zmartwychpowstaną — —

I cały świat mi szkli się i rozzłaca,
I patrzę w jakieś świetlne oddalenia,
W rozwiej świetlaną...

VIII.

Odbicie rysów jej stoi przede mną:
Patrzę w te oczy przepełne słodyczy,
I znów mi wszystko pada w otchłań ciemną
Przed bladym cieniem mojej Beatryczy.

Ja mogłem kochać tylko ciebie jedną!
Napróżno lata za latami liczę — —
Wszystkie mych pragnień skrzące słońca bledną
Przy bladym cieniu twoim, Beatrycze...

IX.

Kocham cię jeszcze... Ani mnie powiedzieć
Niewolno tego, ani tobie wiedzieć,
Lecz ja nie żądam nic, nawet pamięci...
A wszak tym, którym na oczy się rzuci
Noc, o jasności nikt marzyć nie broni,
I to marzenie najwięcej ich nęci,
Chociaż im jasność nigdy już nie wróci,
I chociaż bardzo cierpią, tęskniąc do niej.

X.

Nim mię zagryzie czczość i smutek życia,
Spazm żądz daremnych i gorycz niewoli,
Myślę o tobie, na zawsze stracona,
Chcąc się zagłuszyć choćby tem, co boli.

Tak na ponurej, ciemnej morskiej fali
Rozbitek, zanim odmęt go pochłonie,
Chwyta się deski z potrzaskanej łodzi,
Choć mu gwóźdź tkwiący w niej rozdziera dłonie.

XI.

Dlaczegóż teraz nie mogę gdzieś z tobą,
W zaciszu siedziąc, wieść cichej rozmowy?
Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
Na mem ramieniu uczuć twojej głowy?

Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
Każdym oddechem, każdym kęsem chleba,
Każdą radością i każdą boleścią — —
I tylko tak mi wiecznie tęsknić trzeba...

XII.

Idę przez drogę życia złą i ciemną,
Dokąd?... Czyż wiem?...
A zawsze, wszędzie twój cień idzie ze mną,
Nocą i dniem.

Zawsze i wszędzie słucha serca mego
Najskrytszych drgnień,
Ani opuszcza mię, choć lata biegą,
Twój blady cień.

II.

ZAMYŚLENIA.

PAMIĘCI

MEGO OJCA I MOJEJ MATCE.

I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
Z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
Wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata:
Tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
Podobna z nad mórz wzlatującej mewie,
Wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata..

I jest to moja najmilsza godzina
Lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
Ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
Powoli w głąb się mieniąca świetlistą,
Gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
I ciszy pełna, nie wiem zkąd idąca,
Bo nigdzie światła nie widać krynicy — —
Przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
Blask większy, niźli promienienie słońca,
Lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
Leśnej podźwięki i wielka, niezmienna

Spokojność jezior widnych w oddaleniach — —
I w owej pustej, niezgłębionej toni
Myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
Podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

II.

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojej duszy... Z skrzydły złamanemi
Myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak zbarczone żórawie, po ziemi.

Cóż, że zrywa się czasem i wzlatuje w górę
Z smutnym krzykiem tęsknoty do sfer, kędy słońce
Nieśćmione wyziewami ziemi, jasno gore
I gdzie szumią obłoki z wiatrami lecące?...

Złamane skrzydła lecieć nie zdołają długo,
Myśl spada i pierś rani o głazów krawędzie,
I znów wlecze się, znacząc krwi czerwoną strugą
Ślady swej ziemskiej drogi — — i tak zawsze będzie.

III.

Tam — — chciałbym jedno: w niezmiernem przestworzu
Tonąć, jak delfin tonie w wielkiem morzu,
I patrzeć z góry, jak woda prześwieca
Przez gąszcze wiklin w świetleniu księżyca;
Jak blade róże, czarę aksamitną
Otwarłszy słońcu złocistemu, kwitną;
Jak w czas zachodu na błękitów skłonie,
W płomiennych łunach lód na wierchach płonie;
Nad wielkie, głuche, modre oceany
Mgławic leniwe falują tumany,
A po zielonych wyspach gdzieś daleko,
Błyszczące węże na słońcu się wleką...
Niech mi tam zapach z górskiej poszlą łąki
Skoszone siana i błękitne dzwonki;
Z hal niech mi wichry na skrzydłach doniosą
Woń limb, poranną operlonych rosą;
Niech mi tam szumią z oddali kaskady
Mych gór rodzinnych, szemrzą ciche lasy,
Niech mi w polanach zagrają juhasy,
W upłazach owiec zadzwonią gromady...
A czasem niech mi naokoło głowy
Skrą się owinie wąż błyskawicowy,
Lub zabłąkana gdzieś światłość miesiąca
Na oczach moich niech odpocznie drżąca...
Tam — — w owej pustce cichej i bezdennej,

Niech nic zadumy nie mąci mi sennej,
I wszystka pamięć niechaj wyjdzie ze mnie,
Żem tyle pragnął na ziemi daremnie,
Że ile razy ręce wyciągnąłem
Wszystko mi zawsze było za daleko — —
Tam — — niechaj orły krążą mi nad czołem,
Wiatr łamią piersią i skrzydłami sieką...

IV.

Gwiazdy, wy kwiaty, się rozwijacie
Na łące niebios o cichym wieczorze,
A kiedy wstają przedsłoneczne zorze,
Jak brylant w ogniu, giniecie w szkarłacie:

Po jakiejś drodze mistycznych zachwytów,
Dążeń tajemnych, tęsknot nieokreśnych,
Myśl moja leci ku wam i w bezkreśnych
Głębiach kołuje bezdennych błękitów.

W melodyach światła waszego się pluszcze,
W tajemnych wśród was przepada otchłaniach,
W tysiącznych skonach i zmartwychpowstaniach
Przelata niebios nieskończone puszcze.

I jest jej, smutnej i w sobie zamkniętej,
Dobrze tam, wśród was, smętnych i tajemnic
I milczeń pełnych, wiszących wśród ciemnic,
Jak dusze pchnięte w zamyśleń odmęty.

I jest jej dobrze czasem, jak stepowy
Rumak, co wicher piersią w pędzie chwyta
I złote iskry sypie z pod kopyta:
Lecieć i lotu znaczyć ślad ogniowy.

A czasem idzie jako dziecko w lesie
I trwożnie szuka między wami drogi,
Czując olbrzymie jakieś tajne bogi,
Jak lwy w pustyniach, błądzące w bezkresie.

V.

Cudowna nocy, słodka i kojąca,
Oto ma dusza znużona i blada
Na łono twoje bezsilnie upada
Pod blask miesiąca.

Ciche ją światło obejmuje całą,
Usta jej pieszczą łagodne promienie,
I dziwne schodzi senne zachwycenie
Na półomdlałą.

Zwolna ramiona zmęczone rozszerza,
Otacza niemi słup światła przezroczy,
I upojona, światłem sycąc oczy,
Płynie w bezmierza.

Zbłąkany w drodze na jej bladej skroni
Gwiazdy spoczywa promień modro-złoty,
Niosąc jej z sobą marzące tęsknoty
Ku wielkiej toni...

I zdaje mi się, że tam zkądś, z ciemności,
Wychodzi postać jakaś jasna, cicha,
I do mej sennej duszy się uśmiecha
Pełna miłości.

Zda mi się, jakby wychodziła ku mnie
Ta moc, co w wodach jest, górach, błękicie,
Gwiazdach i kwiatach, wszędzie — — która życie
Obudza w trumnie.

VI.

Czasem, gdy marzę w późną noc, z oddali
Muzyka jakaś cicha ku mnie płynie.
Nieziemska jakaś, dziwna i mistyczna,
Kędyś w bezkresu poczęta głębinie.

I zdaje mi się, żem ją niegdyś słyszał,
Gdzieś przed wiekami, wśród głuchych przestrzeni —
Dziwne wspomnienia błądzą w mojej duszy,
Dziwne mgławice ledwo widnych cieni.

I jakieś widzę, jakby w mgłach pamięci
Zgubione światła, podobne do sennych
Gwiazd, co mdlejąco majaczą w pomroczu,
W czas zadumanych wieczorów jesiennych.

I myśl ma wpływa, cicha, zadumana,
W jakąś głąb pustą, milczącą, tajemną —
I zdaje mi się, że tajny Duch świata
W mistycznych echach mówi wówczas ze mną.

VII.

Żegnam cię, ty promienna, jasna, kryształowa,
Rozkwitająca, bujną wiosną woniejąca,
Bądź zdrowa złota zorzo pogodnego słońca,
Czarodziejko potężna, wszechmocna — — bądź zdrowa!

Żegnam cię, ty, co wiedziesz na spiże i miecze,
Na rozszalałe fale, we wrące płomienie;
Na drogi, gdzie strach blady mieszka i cierpienie,
Gdzie zaraza strudzoną śmierć za sobą wlecze,

Nie zdejmując uśmiechu z twarzy, ani chłodu
Przerażeń w krew nie sącząc; ty, co nowe moce
Dajesz ludziom, gdy los ich złamie i zdruzgoce,
I cenniejszą nad wszystko — niepamięć zawodu — —

Żegnam cię! Jak z innymi, przyszłaś na świat ze mną,
Lecz mi cię wydzierano i w końcu wydarto — —
Wiaro w życie! Żegnam cię! Żegnam cię!... Nie warto
Żyć bez ciebie, a chcieć cię odzyskać — — daremno...

VIII.

Nie mam dzisiaj przy sobie nikogo, nikogo,
Pusto jest w mojej duszy i pusto dokoła — —
Idę mą głuchą, smutną i męczącą drogą
Bez kierunku, bo nikt mię i nic mię nie woła.

Zda mi się, jakbym kędyś wieczorną ciemnotą
Ogarnięty, powoli przez puste szedł pole,
Zasłane brudnym śniegiem, topniejącym w błoto —
Gdzieniegdzie sterczą głuche, posępne topole.

Las jakiś ciemny, smutny widnieje daleko
Z mglistych, ciężkich niebiosów księżyca promienie
Przez powietrzne pustynie ospale się wleką
Ku ziemi, ledwo świecąc. Dokoła milczenie.

Idę patrząc przed siebie — — oczy moje giną
W szarości chmurnej, chłodnej, rozsnutej dokoła —
Śnieg wkoło topól leży masą biało-siną —
Idę bez celu — — nikt mię i nic mię nie woła.

IX.

Struna po strunie pęka, kwiat po kwiecie
Więdnie i ginie, blask kona po blasku,
Coraz jest ciszej, ciemniej i bezwonniej.

Coraz jest smutniej... Na kłos padły śniecie,
Na łany śnieg padł... Próżno — — nikt pobrzasku
Nie wróci dniowi, co się w pomrok kłoni.

Próżno po wiośnie czekać tych wiosennych
Ożywczych wiatrów, siejących w świat rosą,
Niosących z sobą dźwięk, światło i wonie — —

Nie przyjdą, z tajni, gdzie legły, bezdennych,
Nie wstaną, słodkich wzruszeń nie przyniosą,
Nie zadrga serce, ani krew zapłonie...

X.

Cichy wieczorny mrok. Na niebie bladem
Srebrny księżyca sierp i jedna jasno
Świecąca gwiazda. Na zachodzie blaski
Słońca, co smętnie w dół zapada, gasną.

O takiej chwili niegdyś niosłem z sobą
Na wolne pola, na szerokie tchnienia,
Miłości moje, tęsknoty, nadzieje,
I dziwne, cudne dziecinne marzenia.

I całą pełną, wezbraną mą duszę
Sennej naturze rzucałem na łono,
Jak skarb olbrzymi!... Cóżem dziś jej rzucił?
Pustkę bezdenną, próżnię nieskończoną.

XI.

Odpocząć!... Oto jedno, jedyne pragnienie,
Jakie mam jeszcze... Znaleźć kędyś ciche leże,
Jakichś jezior błękitnych dalekie wybrzeże
I błękitnego nieba otwarte sklepienie.

Nad głową moją namiot niech uplotą liany,
Zawieszone na jodeł i sosen konary
Żywiczne i szumiące; przez namiotu szpary,
Niech się wkrada płochliwie blask słońca różany.

A gdy drzewa o zmroku w rosę się ustroją,
Niech mi rosa kroplami łez spada na czoło...
Pomyślę, że się jodły rozpłakały wkoło
Nad złą dolą mych drogich, nad złą dolą moją.

XII.

Na spokojnem, ciemnem morzu
Chciałbym teraz leżeć w łodzi,
Gdzie już żagli niema białych,
Ni szum statków nie dochodzi.

Cały ciężar ten z mych ramion,
Co mię zgina i obali,
Chciałbym rzucić w otchłań wodną
I na ciemnej leżeć fali.

Naokoło niech mi cicho,
Niech mi sennie przestwór dźwięczy,
I niech ciemne głębie w słońcu
Kolorami grają tęczy.

Tam, tysiące mil od brzegu,
Na bezdeni, pod jasnością,
Patrząc w niebo nieruchome
Niech upajam się nicością.

XIII.

Nirwano! Pochyl ku mnie twarz matwo-bladą,
Ściągłą, z blademi usty i czołem z marmuru,
Kędy się zamyślenia nieskończone kładą,
Jak mgławice na morzu chłodnego lazuru.

Zwróć na mnie oczy twoje, błękitnych wód tonie,
Głębokie, nieruchome, zpod przymgleń świetliste,
Jak miesiąc, co za mgłami przezroczemi płonie,
Przetajając w nich światło niebiesko-srebrzyste.

Z spływającą ku ziemi, jak falista rzeka,
Falą włosów, co lniane są, matowo-płowe,
Podobnych z woni kwiatom, co zwolna człowieka
Odurzają i duszą: pochyl ku mnie głowę.

Wyciągnij ku mnie dłonie, gdzie mdlejące tuje
I zwiędłe tkwią narcyzy i zbladłe lilije,
Których zapach powietrze przesyca i truje
I zkąd oddech omdlałość letargiczną pije.

Niech ulegnę senności, co z postaci twojej
W seledynowe, wiotkie odzianej osłony,
Snuje się i owija pierś nakształt powoi
Owijających drzewo mnogiemi ramiony.

Chcę zasnąć... Przesyt pragnień i niesytość czynu
Męczy mnie i zabija... Jestem, jak żeglarze
Wtrąceni do więzienia, gdzie giną ze splinu,
Marząc o świście wichrów i fal morskich gwarze.

XIV.

Raz ją ujrzałem w osłonie białej,
Z twarzą anioła:
Miała skrzydlate, złote sandały,
Gwiazdę u czoła.
Wydała mi się niebiosów panią,
Ziemi i morza —
Oczy me tęskne leciały za nią
W górę, w przestworza,
Aż dnia pewnego podniosłem głowę
Wśród tłumów dumnie,
Bo uśmiechnęło się bóstwo owe
Spojrzawszy ku mnie.
Poszedłem za nią — — a ona wzięła
Oskard w swe dłonie
I otchłań za mną kopać zaczęła — —
Po jednej stronie
Ludzie, wspólnością myśli związani
Są jednem ciałem,
Po drugiej stronie owej otchłani
Ja sam zostałem.

XV.

Rzuciłem ludzi... Noc, spokój głęboki — —
W ciemnościach szumią wezbrane potoki — —
Smutno i gorzko... Dlaczegoż z śród ludzi
Ja nie wyniosłem ani źdźbła wesela?
Cóż jest, co serca ich dokoła studzi?
Cóż jest, co od nich murem mnie oddziela?
Cóż jest, co nie da mi tak czuć, jak oni,
Myśleć ich myślą?... W ciszy potok dzwoni,
W ciemnościach głuchych błysła gwiazda blada — —
Dusza ma ginie w jakiejś czarnej toni,
Coraz w nią głębiej, głębiej, głębiej spada...

XVI.

Rdzawe liście strząsa z drzew
Wiatr jesienny i gna precz —
Poniesione w chłodną dal
Nie powrócą nigdy wstecz.

Żaden z liści więcej już
Nie odrośnie na swym pniu,
Poniesiony w chłodną dal
Nie powróci nigdy tu.

Nie powrócą nigdy tu,
W moje serce, do mej krwi,
Te marzenia, które czas
I poznanie wzięły mi.

XVII.

Zdaleka ku mnie płyną
Chopin'a smutne tony,
I duszę mą owłada
Żal nieskończony.

Chciałbym wyciągnąć ręce
I lecieć gdzieś w przestworza,
W wieczornych, cichych mgławic
Bezdenne morza.

Coś rwie mi serce z piersi,
Od ziemi mię odtrąca — —
A gardło moje dławi
Gorycz paląca...

XVIII.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen,
Przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
Ziemia i błękit i światła w błękicie,
I bóstw idea władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
Snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
Snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
Snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
Gdzie? kiedy?... nie wiem, li wiem, że nie tu;
A tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
Strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... nie wiem, ni wiem, co jest tam,
Kędy się ocknąć ze snu życia mam...
Zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
W jasności jedność w jedno z nią współzlana.

Ach! Gdybyż nigdy nie rzucała mnie
Z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
Że cała nędza życia jest zwodniczem
Widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

XIX.

Dla kogo my żyjemy? Te żałoby,
Cierpienia nasze i smutki dla kogo?
Dla kogo głuche, zimne, ciasne groby,
Zionące ku nam ohydą i trwogą?

Czy może ciebie słońce na błękicie,
Czy was, wy gwiazdy z oczyma złotemi,
Cieszy to nędzne nieskończenie życie,
To zło bezbrzeżne, władnące na ziemi?

Bo ja nie mogę uwierzyć, by ona
Święta moc jakaś spoglądała z góry
Ślepa i głucha i nieporuszona,
Na istot przez się stworzonych tortury.

I żadne słowo nic mi nie tłomaczy,
I nie pojmuję nic na drodze mylnej,
Prócz rezygnacyi martwej, lub rozpaczy
Tem okropniejszej, że do dna bezsilnej!

XX.

Cze wyobraźni odeszły mnie mary,
Znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
Oczy me giną w jakiejś pustce szarej,
I myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
Całe me życie jest we wnętrzu mojem,
Cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
I drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
Czarne jeziora rozsiane w pustkowiu:
W ciemnościach księżyc, blizko skraju ziemi,
Wisi podobny do tarczy z ołowiu.

Ponad czarnemi wodami, szuwary
I trzciny rosną i smutno szeleszczą;
Sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
Głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
Księżyca, chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
I, jako lampa zaniesiona w grotę,
Świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
Jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
Błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
A blask księżyca pada nań żałobny.

Idzie powoli i zwieszone włóczy
Skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
Na własnych stopach opierając oczy,
Idzie w głąb głuchą i ciemną, samotny.

XXI.

Gdy wejdę w tłum, myśl pierwsza, co się we mnie budzi,
Jest myśl o zbliżającej się śmierci tych ludzi,
Których widzę dokoła. Zda mi się, że słyszę,
Jak na zegarze życia ich życie przedzwania,
I czuję tę cmentarną, przeraźliwą ciszę,
W której spoczną, rzuceni robactwu na łupy,
Dziś pełni namiętności, marzeń, pożądania,
Jutro nieczułe, sztywne i ohydne trupy.
I tak boleśnie śmieszne, nędzne nieskończenie
Zdają mi się te myśli wszystkie i te czyny,
Które tu wypełniają człowiecze istnienie — —
A zegar życia bije posępne godziny.

XXII.

Boże, ukryty tam gdzieś na niebiosach,
Ileż-to razy w rozwichrzonych włosach,
Z załamanemi na oczach rękami,
Z pianą na ustach i z krwią, w poszarpanej
Szacie pielgrzymiej, przez chmur nawałnice,
Przez grzmot ciemności i gwiazd huragany,
Odmęt dróg mlecznych, warczące mgławice,
Huk i wir komet o złotych ogonach,
Przez nieskończoność, wieczność, co skrzydłami
Wieją nademną, niosące w swych szponach,
Jak para orłów żerujących wraz,
Pobite łupy swe, przestrzeń i czas:
Dusza ma leci do Cię, przed Twój próg,
Całą tę wzgardę, którą w nie wtłoczyła
Ludzkość nikczemna, zła, ciemna i zgniła,
Rzucić i pytać: czy patrzysz Ty, Bóg?!

XXIII.

Widzę przed sobą otchłań wielką, czarną — —
Wszystkie promienie słońca nie rozgarną
Razem zebrane tej strasznej nawały
Głuchych ciemności... Patrzę w otchłań z trwogą
I zdaje mi się, że niepewną nogą
Już na krawędzi jej stoję... Drżę cały,
Chciałbym się cofnąć, lękam się, że runę,
Oślepiającą mam w źrenicach łunę,
Dziwny szum w głowie... Lecz możeż w istocie
Ta noc za życia, być gorszą, niż życie?
A gdyby można znaleźć w tej ciemnocie
Przed złem wszechwładnem na zawsze ukrycie?
Gdyby znalazło się tam szczęście, które
Tu nawet zdala nigdy nie majaczy?...
Ha! Miast na życia piąć się stromą górę,
W szaleństwa otchłań czarną runąć raczej!...

XXIV.

O czaszko! Kiedyś czyja ręka może
Podejmie ciebie z cmentarnej gdzieś ziemi — —
Będziesz tak cicha i nikt nie odgadnie,
Jakie świeciły w tobie natchnień zorze,
Jakiem pragnieniem, żądzami jakiemi
Płonęłaś cała? Na wieki przepadnie
Cierpienie myśli, co się w tobie mieści,
Jak perła w muszli, której wartość cała
Ztąd, że nad inne czuła i cierpiała.
Z rozkoszy twoich i twoich boleści
Nic nie zostanie, ni kto zapamięta,
Błogosławionaś była, czy przeklęta?

XXV.

Jest dal nieznana w umyśle człowieka,
Ale granicę ma uświadomienie,
I zpod harpunu pojęcia ucieka
Niejedno próżno chwytane wrażenie.

Wieluż zagadek, tajni by nie było,
Gdybyśmy mogli odczuć to świadomie,
Co zmysły nasze, zbyt subtelną siłą
Dla pojęć naszych, wchłaniają kryjomie.

I te odczucia, o które się kruszy
Wiedza, jak pocisk o kamienne mury,
Są tylko z tajną siłą naszej duszy,
Rozmową tajnych dla nas sił natury.

XXVI.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
Tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
Idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
Do twego domu, ścigam cię oczyma,
Choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
Tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach,
Jak gdyby w jakiemś przymglonem odbiciu,
Jak kwiat, w strumienia odbity przezroczach,
Jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
Cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy,
Czuję twe ręce gdzieś nad moją głową,
I pełen jestem o tobie zadumy,
I żywszą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę,
Zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie — —
Ciebie jedynie czekam na mej drodze,
I choć się zawsze zawodzę boleśnie,
Szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

XXVII.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń obsłoną.

Pójdzie, sama niewiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu paląca łza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

III.

PRELUDYA.

Ferdynandowi Hösickowi.

Gdyby ból każdy, w ludzkiej piersi skryty,
Jedną litości łzę wycisnął z oczu,
A łzy gwiazdami zalśniły w przezroczu:
To stałaby się błękitów opona,
Jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
Choć w nieskończoność ciągną się błękity.

I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
Co w cichych mroków oceanie toną,
Cień w długiej szacie stoi nieruchomie
Z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
Rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
Ah! Chrystusowa to chyba twarz blada,
Taka bolesna, taka beznadziejna.

II.

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
Kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
Jak wampir, z duszy mej wyssało wiarę,
Tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
Przed mściwem bóstwem w modłach w prochu ściele,
Lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi
W olbrzymim życia władnące kościele.

III.

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
Nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwoga,
Bezradność mię owłada, i chciałbym do Boga
Wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale nie mogę wołać... Jest coś, co okową
Żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina,
Do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
I milcząc patrzę w wielką przestrzeń lazurową.

IV.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
Jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
Niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę,
I zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięzko
Losy ich zmogą jedną wielką klęską,
Niż jeśli codzień po kropli im bryzną
W żyły powolną, lecz pewną trucizną.

V.

Szalone słonie przed się pędzą
Nie wiedząc dokąd, ani poco?
Nie dbając, co obalą piersią,
Co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi
I próżną wszelka tu obrona — —

Ni ją Prometeusza rozum,
Ni Heraklesa moc pokona.

VI.

Czasem nagle uczuwam naokoło siebie
Taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
By nie widzieć tej pustki na ziemi, na niebie,
A w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
Pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
A dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
Dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

VII.

Gdyby mi z jednej strony położono
Wszystek skarb, jaki kryje ziemi łono,
Wszystką tę gloryę, co nad czołem świeci
Geniuszów w długim szeregu stuleci,
I wszystką miłość kobiety wielbionej:
Z tak lekkiem sercem, jak listek na wodę,
Rzuciłbym wszystko, gdyby z drugiej strony
Dano mi tylko to jedno: swobodę...

VIII.

Idzie na pola, idzie na bory,
Na łąki i na sady,
Na siwe wody, na śnieżne góry,
Na miesiąc idzie blady —

Idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
Zkąd blask dróg mlecznych prószy,
Idzie błękitna, cicha, skrzydlata
Muzyka mojej duszy.

IX.

Tam — — oby cisza już była na wieki,
Tam — — jeśli wzniosą się jeszcze powieki,
To oby po to, by w jasność niedrżącą,
W blask :krysztalony spoglądać milcząco,
I ginąć w bezdniach sennego błękitu,
I nic już nie czuć, nawet swego bytu.

X.

Wszystko jest marne, podłe, złe i wstrętne,
Niema na świecie nic, nic, coby było
Cokolwiek warte! Świat jest błota bryłą,
Rzuconą w wody nieprzejrzanie mętne.

XI.

Z mej duszy strasznie, nieludzko zbolałej
Przez wszystkie niemal doświadczanej próby,
Życie wydziera słowa krwawą ręką,
Jak z przykutego do kaukazkiej skały
Prometeusza boku, sęp wydzierał
Krwawemi szpony kawały wątroby,
A on żyć musiał, choć z bólu umierał — —
Lecz Heraklesem, co wzruszony męką,

Z pęt oswobodzić okrutnych przybędzie
Prometeusza — — śmierć mi chyba będzie.

XII.

Zrzućmy tę maskę, co dusi i męczy,
A którą trzeba kłaść na twarz, by ludzie
W głąb nie zajrzeli — — jesteśmy samotni
I kres możemy położyć obłudzie.

Jesteśmy sobą: nic nas nie obchodzi,
I wszystko jest nam niewartem do szczętu,
I nieczujemy nic, oprócz zmęczenia,
Nic prócz ironii, pogardy i wstrętu.

XIII.

Długo się we mnie opierała w duszę
Iluzya w pierwszem zaszczepiona tchnieniu:
Długom wbrew woli ulegał otusze
I o mem własnem wątpiłem zwątpieniu.

Lecz dziś się już nic nie spodziewam zgoła,
Wszelką iluzyę z duszy mi wydarto,
Wielką zła przemoc widzę dookoła,
I pytam siebie tylko: czy żyć warto?

XIV.

Gdybym dziś umrzeć miał, jakże nędznemi
Wydałyby mi się wszystkie boleści

Mej własnej duszy i wszystkie wszechziemi —
W obliczu śmierci cóż ma jaką wagę?
I tylko chciałbym, gdy się czas obwieści,
W twarz śmierci prosto spojrzeć mieć odwagę.

XV.

Przekląć! zapomnieć — — i nigdy już więcej
Myślą nie wrócić!... Dosyć miałem krzyży
I dosyć cierni — — żyłem, jak straceńcy...
Nim w zdrój zdążyłem spojrzeć czysty, świeży:
W zgniłe, cuchnące spojrzałem bezedno — —
I dzisiaj tylko mam pragnienie jedno:
Przekląć! Zapomnieć!...

XVI.

Chcąc przerwać myśl, wyjrzałem przez me okno zrana:
Puste miasto, niebiesko-biały śnieg w ulicy,
Martwe, bezlistne drzewa, przestrzeń ołowiana,
Cisza, jak w głuchem wejściu cmentarnej dzwonnicy

I nagle duszę moją chwyciła, jak w kleszcze,
Taka straszliwa rozpacz, takiem nerwów piekłem
Mózg zawrzał, że od okna i świata uciekłem,
Bo mogłem był oszaleć, gdybym patrzał jeszcze.

XVII.

Nadmiar wstrętu do życia codziennej podłości
Jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą,

Niemam już w sercu żadnej łaski i miłości,
Gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — — gdybym dziś z tej ziemi
Odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy:
Odchodziłbym z oczyma jako stal, zimnemi,
Nie odwracając nawet raz ostatni głowy.

XVIII.

Jedno mam tylko pragnienie: rozkoszy,
Bo rozkosz tylko wiedzę ćmi i zgłusza,
Energię myśli gnie, zadumę płoszy,
A nieszczęśliwa jest ważąca dusza.

Ważyć, czuć, myśleć, wiedzieć — równocześnie
Pojmując całą bezmoc swojej woli,
I widząc, że chcieć, to jest marzyć we śnie:
Jest to, co chyba najbardziej nas boli.

XIX.

Na pełną pierś twą rzucam moje usta,
Pełnych twych bioder kształt lubieżnie pieszczę —
Spal mię w uścisku! Rozkosz tylko jedna
Naprawdę czar ma jakiś dla mnie jeszcze.

Zresztą nie nęci mię już nic — — napróżno — —
A jeśli w poczet walczących się liczę,
To tylko po to, aby głodnej hydrze
Mej dumy, rzucić, jak ścierwo, zdobycze...

XX.

Nie sądź po ustach do uśmiechu skorych,
Że się ból w czyjej nie zagnieździł duszy;
Nie wiesz, jak ciężko nieraz walczyć trzeba,
Nim się jęk śmiechem zadławi i zgłuszy.

Bóg tylko jeden patrzy w ludzkie serca
I widzi raka, co tyle ich toczy,
Widzi te rany straszliwie krwawiące,
I sam On musi precz odwrócić oczy!

XXI.

Zimnem szyderstwem kryć trzeba tę żałość,
Co sobą duszy głąb wypełnia całą,
Trzeba się zdobyć na dumy wytrwałość
I na śmierć, nawet niechybną, iść śmiało.

I trzeba z siebie wydobywać moce,
By nie opadły skrzydła rozpostarte,
Ale przez życia ciemne, mroźne noce,
Niosły — — lecz dokąd?... Co i gdzie jest warte?...

XXII.

Płomienie w mojej duszy tłumią się i kłębią,
W sercu mojem jest gorycz, pustka i tęsknota,
Oczy me w nieskończone otchłanie się głębią,
Słuch utopiłem w szumach posępnej rozwiei — —
Pojąłem całą nędzę ludzkiego żywota
I zrozumiałem całe nicestwo nadziei.

I oto duch mój zawisł (jako ślepiec który,
Co stoi na bezdrożu w strapieniu i trwodze) —
Ze skrzydły rozpiętemi, co ni rwą do góry,
Ni go na dół puszczają — — ni spada, ni wzlata — —
Nie wiem, po jakiej sam tu winienem iść drodze,
Ani wiem, jaką drogą winien iść krąg świata?

XXIII.

Tyle nas razy zimno odepchnięto,
Tyle nas razy zraniono boleśnie,
Jednak się jeszcze serce rwie do ludzi
I ból swój rzuca w niepamięci pleśnie.

Jednak się jeszcze rwie, ściśnięte żalem
I beznadziejną tęsknotą trawione — —
I po co? po co? Aby z nową raną
Upaść w bezdenie smutku nieskończone.

XXIV.

W odczucia mego głąb spoglądam z żalem —
Coraz to większe dzielą mię przestrzenie
Od wrażeń dawnych świeżości i siły — —
I jest mi smutno, smutno nieskończenie.

Próżno chcę dzisiaj, by mi pełnię wrażeń
Dało blednące z każdym dniem wspomnienie,
Próżno chcę wskrzesić umarłych posągi — —
I jest mi smutno, smutno nieskończenie.

XXV.

Smutną jest dusza moja aż do śmierci — —
Opuszczam ręce, niech się co chce, dzieje,
Już mi cios żaden mózgu nie przewierci,
Bom już zeń wygnał do szczętu nadzieję.

I oto stoję milczący, jak we śnie,
Nad urną pragnień mych, rozbitą w ćwierci,
A żem ją stracić musiał w proch tak wcześnie,
Smutną jest dusza moja aż do śmierci.

XXVI.

Głucho jest w duszy mojej i zimno — — daremnie
Szukam w niej choćby iskier dawnego płomienia — —
Zagasł niepodsycany — — czuję, że już we mnie
Serce kona, przechodzi zwolna w śmierć z uśpienia.

Mieć serce, ale martwe, w piersi, jako w grobie,
Przeraża mnie, i niewiem, co jest większa męka:
Czy gdy próżno chce serce znaleźć czucie w sobie,
Czy kiedy czuje, ale od boleści pęka?

XXVII.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Płynie okręt z kotwicą urwaną,
Wiatr go pędzi coraz dalej, dalej
W przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,
O podwodną gdzieś udrzysz skałę
I bez śladu przepadniesz w odmęcie.

XXVIII.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
Cudny kobiecy głos mię zkądś dolata,
Anielskie jakieś śpiewający pieśni,
Piękniejsze, niźli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zasłuchuję duszą,
Serce mi z piersi tęsknota wyrywa,
Poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Niewiem,
Czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

XXIX.

Ponuro gwiżdże północny wiatr,
Świat ginie w chmurze śnieżnej —
Zda się, że piersi rozerwie mi
Żal gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
Życie mi całe spłynie?
Nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
Świat w chmurze śnieżnej ginie.

XXX.

Tak — — nieskończoność złego jest przedemną,
Jak przed istotą każdą, którą zmuszą

Losy żyć życiem sprzecznem jej naturze — —
Bo sadzić limby na bagnach daremno,
I darmo sadzić na granitach róże
I próżno walczyć o byt z dumną duszą.

XXXI.

Ah! Gdybym teraz mógł pędzić, jak wicher,
Gdzieś w nieskończoność, nieskończoność, precz,
Roztrącać wszystko po drodze, jak piorun,
Rozcinać wszystko po drodze, jak miecz.

Czuję potrzebę lotu i niszczenia,
Ziemię i niebo rozbiłbym na druzg — —
Thu mi brak w piersi, w oczach mam płomienie
I, zda się, głowę rozsadza mi mózg.

XXXII.

Lubię więdnące kwiaty, pełne bladej ciszy,
Oczyma się patrzące w niebo omdlałemi —
Modlitwę ich przedśmiertną ucho moje słyszy,
Pożegnanie i razem powitanie ziemi.

Gdybyśmy tak umierać mogli, jak te kwiaty,
Ziemię żegnać i ziemię wraz witać rodzicę,
A nie jakieś zaziemskie gdzieś przeczuwać światy,
Błędnym wzrokiem w straszliwą patrzeć tajemnicę...

XXXIII

Dopóki sięgasz — złotem ci się zdaje,
Gdy chwycisz — złoto okaże się szychem —

Zawsze i wszędzie los przed tobą staje
Z zimnym, szatańsko szyderczym uśmiechem.

I znowu pragniesz i znowu tęsknota
Rozrywa serce i myśli zamąca,
I znów szych w rękę chwytasz zamiast złota —
I to jest dola nasza aż do końca.

XXXIV.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
Co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
Bo był otwarty raj także i mnie
W dzieciństwie mem.

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
Że całe życie moje było snem — —
Zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
W dzieciństwie mem...

XXXV.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
O skrzydła orle otarty wiatr,
O limby, co się patrzą w urwisko — —
Leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
Tęsknot do orlej swobody szał,
I tę zadumę limb, co się ciszą
Wielką objęte, w pustce kołyszą.

XXXVI.

W wieczorną ciszę zdaleka słyszę
Szumiące cicho rzeki;
Myśli me zwolna, sennie kołysze
Szum cichy i daleki.

Wolno i sennie w wielki bezdennie
Świat myśli moje płyną,
Płyną nad gwiazdy lśniące promiennie
I w ciemnej pustce giną.

XXXVII.

Młodości mojej wiosno! Na twym grobie
Wykułem posąg z ciemnego kamienia:
Ręce ma na krzyż założone obie
I głowę na pierś posępnie schyloną
I ust bolesne, gryzące skrzywienia
I ciężkim żalem uciśnione łono.

I przed posągiem owym często stawam
Patrzę nań długo w smutku i zadumie,
I nieść się myślom w kraj umarły dawam,
A łzy mię palą i dławią mi gardło,
I tylko dumą żal mój wielki tłumię — —
Ah! Bo mi wiele i nędznie umarło.

XXXVIII.

W pożarze słońca, w róż oceanie,
W płomiennym zmysłów zachwycie,

Jak grom w dzień jasny, śmierć niespodzianie
Niech przyjdzie przeciąć me życie.
A nim twarz moja zblednie jak chusta,
Nim zimne wstrząsną mię dreszcze:
Słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
Jeszcze raz, jeszcze, raz jeszcze.

XXXIX.

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
Tęskniłem lata... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywołuje dreszcze — —
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę — —
Mów do mnie jeszcze...

XL.

Widzę ją — — idzie z słoneczną pogodą
W anielskiej twarzy,
Idzie wieczorem gdzieś nad senną wodą
I cicho marzy...

Marzy, że swojem kochaniem ocali
Kogoś, co gnie się...
Ah! Coraz dalej idzie, coraz dalej,
Ginie w bezkresie...

XLI.

Ze wzgardą patrzę na to nędzne życie,
Gdzie błoto bryzga aż na samą skroń,
Gdzie się oddycha gnijącem powietrzem
I musząc ująć, z wstrętem cofa dłoń.

Czyliżby cała ziemia była błotem,
Wszystkieżby rzeczy ziemskie kalał brud?
Czy jest świat inny, czystszy i piękniejszy,
A tylko mnie doń nie otwarto wrót?...

XLII.

Smutno mi Boże, Ty, co tam w błękitach,
Jeśliś jest, jesteś... Smutno mi bezdennie — —
Dusza ma, zda się, w grobowcowych płytach
Śni sen straszliwy o życia Gehennie,
I w jakąś martwą omdlałość wtrącona,
Zamiera zwolna ciągle, choć nie kona.

Smutno mi Boże... Oto już nic zgoła
Niemoże we mnie obudzić wesela;
Coraz mi zimniej krew płynie do czoła,
Serce się we mnie zwęgla i spopiela;
Zamierającej duszy nic nie nęci,
Oprócz spocznienia, oprócz niepamięci.

LXIII.

Pierzchło marzenie — — przed memi oczyma
Znów staje prawda z obliczem zgorzkniałem,

Z tego, com marzył chwilę, nic już niema,
A wszystko to jest, o czem zapomniałem.

Pierzchło marzenie... Zpod jasnego nieba
Do pustych wiecznych pragnień wracam kaźni,
I nie wiem, czemu kląć mi więcej trzeba:
Czy życiu memu, czy mej wyobraźni?

XLIV.

Serce me, smutku owiane żałobą
Słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije
We śnie o tobie marząc, serce czyje?
Czy cię nie woła? Nie tęskni za tobą?

Nie — nic nie słychać... Tylko smreki szumne
Szumią, za wichrem pochylając czoła...
Próżno wytężasz słuch, nikt cię nie woła — —
O serce! bądźże na skargę za dumne!

XLV.

Skonaj ty serce wprzód, nimby cię miano
Zdeptać szyderczo, lub karmić jałmużną;
Nie patrz już w przeszłość — umarli nie wstaną,
Ani patrz w przyszłość — pocóż czekać próżno?

W ciosaną z marzeń i tęsknoty trumnę
Włożone zaśnij i śpij nieprzespanie,
Na ból za martwe, na skargę za dumne — —
Śpij — — oto słońce zaszło i nie wstanie.

IV.

SFINKS

FANTAZYA DRAMATYCZNA.

(Grana po raz pierwszy dnia 7go stycznia 1893 roku w Krakowie).

KAZIMIERZOWI EHRENBERGOWI,

LUCYANOWI RYDLOWI

I KUZYNOWI MEMU

TADEUSZOWI ŻELEŃSKIEMU.

Scena przedstawia werandę na pierwszem piętrze, z jednej strony zupełnie otwartą, z balustradą z czarnego marmuru, dość nizką. Przy balustradzie dwie kolumny, również z czarnego marmuru z bronzowemi wazonami, w których tkwią ogromne, kwitnące storczyki. Mnóstwo kwiatów i krzewów, zwłaszcza kaktusów, oleandrów i tui. Pianino, kozetki, krzesła, stoliki. Na jednym ze stolików duża lampa z przezroczystym zielonym kloszem. Przy tym stoliku na kozetce siedzi matka w czarnej sukni, z czarną koronką na głowie, wielkie brylanty w uszach, na szyi mały srebrny krzyżyk. Na kolanach robota. Obok na krześle Anna, z głową wspartą na ręce opierającej się o stolik. Włosy ciemno-blond, rzucone na plecy, długie i bujne, twarz blada, suknia lekka, prosta, biała, we włosach blade lilie i jedna ciemna róża; u gorsu mały bukiecik górskich kwiatów, fioletowych dzwonków i modrych goryczek. Widok z werandy w chwili podniesienia zasłony na ciemne niebo z zamglonym księżycem w pełni, oświetlającym skraj jeziora, las i po za nim wielkie, urwiste skały granitowe.

ANNA *(jakby do siebie).*

Dziwnie, ciemno i cicho... Suche liście szeleszczą... Jaki księżyc mglisty... *(Daleki grzmot z przeciągłem echem).*

MATKA.

Burza nadciąga. Powietrze parne i ciężkie, duszące.

ANNA.

Patrz mamo, jaki dziwny, zielono-ołowiany połysk ma dziś księżyc. Wygląda, jak z zaśniedziałego mosiądzu. Inny jest, jak zazwyczaj.

MATKA.

Nieraz bywa podobny przed burzą. Nie widzę w nim nic niezwykłego.

ANNA.

Owszem mamo, wpatrz się weń dobrze, jest w nim coś niezwykłego. Ma jakiś gorzki blask i tyle smutku... *(Pauza)* Jak cicho...

MATKA.

Istotnie, bardzo jest cicho.

ANNA.

I jest w tej ciszy coś, co trwoży, prawda? Jest jakoś straszno...

MATKA.

Upał przed burzą rozstraja się. Blada jesteś. *(Pauza).*

ANNA.

Zdaje mi się, jakby coś złego stać się tu miało...

MATKA.

Bóg nad nami.

ANNA.

Nie wiem, co to jest, ale lękam się czegoś... Zdaje mi się, jakby coś strasznego krążyło nad domem naszym...

MATKA.

Zdenerwowana jesteś. Grywasz za wiele.

ANNA *(po chwili).*

Dziś grałam długo o zmroku. Kwiaty bardzo pachniały i było bardzo cicho... Klawisze same brzmiały mi pod palcami... Jakieś dziwne melodye zawisły mi nad głową... *(Daleki grzmot).*

MATKA.

Burza się zbliża.

ANNA.

Zdawało mi się, że mgła dźwięków waha się nademną

wisząca, kołysana moim oddechem. Było bardzo spokojnie... *(Pauza)* Potem stanęłam przy oknie. Księżyc świecił się w jeziorze pod oknami, jak srebrny. Szklanny dach cieplarni także jak srebrny błyszczał w blaskach księżyca... Jak nagle zaszumiały drzewa!...

MATKA.

Wicher się zrywa. Boję się, że młode akacye połamie. Kazałam odjąć podpory.

ANNA.

Nocny ptak jakiś frunął koło oleandrów. Tak samo o zmroku latały ptaki nocne w ciemnościach nad wodą, szybko i cicho, a biorąc mnie nieruchomą widocznie za rzecz martwą, przylatywały czasem tak blizko, że omal nie uderzały skrzydłami o kwiaty we włosach moich... Ogarnęło mnie jakieś zamyślenie senne...

MATKA *(głaszcząc Annę po twarzy).*

Marzycielko ty moja.

ANNA.

Nagle zdało mi się, że jakaś dziwna muzyka wyłania się z głuchych fal jeziora. W tej muzyce było coś nęcącego, jak życie, mocnego, jak śmierć. Czułam, że omdlewam, że padam gdzieś w głąb... Widny mi był jasny jakiś, pełen słońca świat... słodka jakaś, cicha, senna toń... A z wód jeziora, z głębi, brzmiała ciągle muzyka dziwna, upajająca... Zdawało mi się, że krąg za kręgiem owiewa mię ton mgłą rozwahaną... Wtem ból straszliwie ostry na wskroś mnie przeszył, na wskroś przez serce...

MATKA.

Szczególne marzenie.

ANNA.

Ocknęłam się. Włosów moich dotykał Leon palcami.

Na twarz jego i na gipsową głowę Dantego, co, wiesz mamo, koło okna stoi, padało światło księżyca. Blada twarz Leona i ta posępna głowa, trupią miały białość. Zdjął mię lęk, lęk tak wielki, żem się ruszyć nie śmiała, ani odetchnąć. Pierwszy raz wydał mi się Leon tak strasznym. A stał długo przy mnie i wciągał powietrze w usta na pół rozwarte. I stojąc tak, wodził palcami po włosach moich i kwiatach w nie wpiętych i wyjął mi lilię jedną, bardzo pachnącą.

MATKA.

Biedny mój syn.

ANNA.

Każ mamo wynieść z mego pokoju to popiersie Dantego. Straszna jakaś posępność jest w tej głowie, przed którą dusze umarłych ciągnęły szeregiem.

MATKA.

To pamiątka po twoim ojcu. Czy nie będzie ci żal?

ANNA.

Żal... *(Zamyśla się, poczem nerwowo)* Co to? Jakby drzewa zadrżały w ogrodzie! Czy słyszałaś mamo ten dziwny dreszcz drzew? *(Daleki grzmot)*. Czy to przed uderzeniem piorunu taki dreszcz wstrząsa drzewami?

MATKA.

Przywiduje ci się, moje dziecko. Nie było nic słychać, prócz grzmotu.

ANNA.

Nie, nie. Najwyraźniej zaszeleściły wszystkie liście w ogrodzie i chrzęst było słychać gałęzi, cichy i przerażający.

MATKA *(do siebie)*.

Biedne dziecko.

ANNA.

Słyszę, co szepcesz, mamo. W tej chwili zdaje mi się, że mogłabym usłyszeć szelest roślin podwodnych w jeziorze, kołysanych falami... *(Pauza).*

MATKA.

Daleko chodziliście z Leonem?

ANNA.

Ku wierzbom za mostkiem.

MATKA.

Szedł chętnie?

ANNA.

Chętnie. Zebrałam mu duży bukiet pachnących kwiatów leśnych, co go widocznie bardzo ucieszyło *(Pauza).* Nie odchodź mamo.

MATKA.

Widzisz, że nie odchodzę. Nie ruszyłam się z miejsca.

ANNA.

Zdawało mi się, że chcesz odejść.

MATKA.

Ale co ci jest, Anno?

ANNA.

Ja nie wiem, ja nie wiem... Od czasu do czasu dzieje się wkoło mnie coś dziwnego... *(Pauza).* W tej chwili wydaje mi się, jakby w powietrzu coś drgało niezmiernie prędko; słyszę, jakby jakieś stłumione, migotliwe dzwonienie... Cyt!

MATKA.

Co?

ANNA.

Dreszcz przeszedł znowu po drzewach w ogrodzie. *(Uderza piorun w znacznej odległości).*

MATKA.

Proboszcz chyba wstąpi na noc, powracając od Andrzeja. Burza nie ominie nas z pewnością. *(Pauza).* Która to może być godzina?

ANNA.

Musi być koło dziesiątej.

MATKA.

Czy Leon śpi?

ANNA.

Zostawiłam go śpiącego w fotelu. Zaledwie zdołałam odprowadzić go z werandy od tych storczyków. Wąchał je długo i kilkakrotnie zdejmował ten wazon. *(Wskazuje wazon po prawej ręce widzów).* Bałam się, że upuści. Wazon jest tak ciężki, że ledwo postawić go mogłam napowrót. *(Wzdryga się nagle).*

MATKA.

Ty drżysz? Co ci jest, Anno?

ANNA.

Ja nie wiem, co to jest. Trwoga jakaś spada na mnie chwilami tak niespodzianie...

MATKA.

Dzieciństwo.

ANNA.

Jednak ty wiesz, mamo, że miewam nieraz przeczucia rzeczy dziwnych...

(Z drzwi dalszych, po lewej ręce widzów, wychodzi Piotr, ubrany ciemno, niosąc na srebrnej tacy bilet wizytowy).

PIOTR *(podając bilet matce).*

Pan jakiś przyjechał konno.

MATKA *(czytając bilet).*

Artur Weren.

ANNA *(żywo).*

Weren?

MATKA.

Czy mówił co ten pan?

PIOTR.

Mówił, że zbłądził w puszczy i pytał się, czy nie mógłby przenocować w pałacu?

MATKA.

Proś tego pana. *(Piotr wychodzi).*

ANNA.

Może jaki krewny Ryszarda Werena?

MATKA *(z uśmiechem).*

Szkoda, że nie on sam, prawda?

(Piotr wprowadza Artura. Artur ciemno ubrany, kurtka zapięta pod szyję i długie spodnie, buty bez ostróg).

ARTUR.

Raczą panie wybaczyć, że o tak późnej porze kłócę im spokojność. Zbłądziłem w puszczy.

MATKA.

Zechciej pan przyjąć naszą gościnę.

ARTUR.

Szczerze wdzięczny pani jestem, upadłem bowiem z koniem trochę nieszczęśliwie.

MATKA.

Nic złego jednak?

ARTUR.

Bynajmniej, pani. Chodziłbym tylko nie mógł swobodnie.

MATKA.

Proszę, usiądź pan. *(Artur siada obok stolika, przy którym siedzą kobiety).* Niedługo podadzą nam herbatę.

PIOTR *(wchodząc).*

Proszę pani, ksiądz proboszcz wrócił od pana Andrzeja.

MATKA *(wstając).*

Wybaczy pan. Nasz proboszcz powraca od chorego, o którego jestem bardzo niespokojna. *(Wychodzi z Anną).*

ARTUR *(sam).*

Ta dziewczyna biała jest jak sen, jest jak cud... W złą jednak chwilę los mię tu przywiódł, na czyjąś śmierć.

(W tej chwili z drzwi po prawej ręce widzów wysuwa się Leon, w dosyć długiej, wolnej, ciemnej bluzie, w ciemnych spodniach i czarnych, miękkich pantoflach. Leon jest blady, rysy ostre, regularne, ciemny zarost młodzieńczy. Idzie powoli, z wyciągniętemi przed siebie trochę rękami, ku kolumnie z wazonem po prawej ręce widzów. Natrafia na wozon, zdejmuje go powoli i wącha storczyk z widoczną rozkoszą. Artur zdumiony podnosi się z krzesła. Wchodzi Anna).

ANNA *(podchodząc szybko ku Leonowi).*

Mój brat... Bóg odjął mu wszystko: wzrok, słuch i głos.

ARTUR.

Cóż za okropne nieszczęście!

ANNA *(po chwili).*

Okropne nieszczęście. *(Pauza. Anna odbiera łagodnie wazon z rąk Leona, mówiąc do Artura)* Proszę, niech pan pomoże mi postawić ten wazon na dawnem miejscu. Jest bardzo ciężki.

(Artur zbliża się, bierze wazon z rąk Anny, przyczem staje tuż obok niej. Leon, który widocznie węchem poznaje obecność kogoś trzeciego, zdradza niepokój, o ile przedtem, przy zbliżeniu się doń Anny, zdradzał zadowolenie. Szukając rękoma dookoła siebie, natrafia na zbliżone z sobą ramiona Artura i Anny, co go widocznie zastanawia. Tymczasem Artur stawia wazon na kolumnie i oddala się nieco. Anna wyjmuje jedną z lilij wpiętych we włosy i wsadza ją w dłoń Leona, który przyciąga ją ku sobie i obejmuje jedną ręką, drugą czyniąc ruchy, jakby chciał kogoś odepchnąć. Cała ta scena od chwili ukazania się Leona, nie powinna trwać długo. Wchodzi matka i ksiądz, siwy, nieco zgarbiony, sympatycznej powierzchowności).

MATKA.

Leon tu? Ale jaki niespokojny.

ANNA.

Widocznie zaniepokoiła go obecność pana Werena.

MATKA.

Wyprowadź go i niech go rozbiorą, jeśli zechce.

(Tymczasem ksiądz zapoznaje się z Arturem i rozmawia z nim widocznie o Leonie, którego Anna prowadzi ku drzwiom, zkąd wyszedł. Matka zbliża się ku nim. Leon odczuwając to, przyciąga znów Annę ku sobie, czyniąc zarazem wolną ręką ru-

chy, jakby chciał kogoś odepchnąć. Poznawszy dotknięciem matkę, objawia zadowolenie i pozwala wyprowadzić się Annie).

MATKA *(do Artura).*

Mój syn jest kaleką, jak pan widzi. Węch jest jego jedynym zmysłem. Panowie zapoznali się? *(Artur i ksiądz dają znak potakujący).* Leon bywa od jakiegoś czasu szczególnie rozdrażniony. Wydaje mi się czasem, jakby był zazdrosnym o Annę. Przed paru dniami odepchnął tak silnie ogrodnika, który chciał ją pocałować w rękę, że chłopak o mało nie upadł na ziemię.

KSIĄDZ *(na stronie).*

Czyżby to instynkty w nim się budziły spóźnione? Byłaby to rzecz straszna...

MATKA.

Co mówisz, księże proboszczu?

KSIĄDZ.

Nic. Sądzę jednak, że trzeba uważać na Leona.

MATKA *(niespokojnie).*

Albo?...

KSIĄDZ.

Przy takim organizmie nic wiedzieć na pewno nie można. *(Anna wraca).*

ANNA.

Usiadł spokojnie w fotelu. Bawi się lilią i zapewne zaśnie wkrótce.

MATKA.

Czy jest kto przy nim?

ANNA.

W tej chwili nie, ale zupełnie jest już cichy. *(Do księdza)* Więc staremu Andrzejowi lepiej? Nie umrze?

KSIĄDZ.

Chyba Bóg zechce, dziecko, chyba Bóg zechce.

ANNA.

Bóg jest dobry. Ja się tak modliłam za Andrzejem.

KSIĄDZ *(z uśmiechem)*.

Muzyką, jak zawsze?

ANNA *(jakby uniewinniając się)*.

Ja nie umiem inaczej. Ale czyż Bóg nie słyszy każdej modlitwy?

KSIĄDZ.

Bóg słyszy każdą modlitwę.

(Artur opiera się o krzesło).

MATKA.

Czemu panowie nie siadają? Widzę, że panu upadek z koniem dał się nieco we znaki, panie Weren.

ARTUR.

Istotnie, trochę go czuję.

KSIĄDZ.

Znałem Ryszarda Werena. Pan mi go bardzo przypomina rysami i postawą.

ARTUR *(z mimowolną dumą)*.

To był mój ojciec.

ANNA *(cicho).*

Ach!...

MATKA.

Tem milej mi widzieć u siebie syna tak wielkiego człowieka.

KSIĄDZ.

Geniusz to był potężny. *(Wskazując na Annę)* A to jedna z najzapaleńszych wielbicielek pańskiego ojca. *(Artur skłania głowę przed Anną).* Gra chyba wszystkie jego dzieła na pamięć. *(Słychać daleki grzmot).*

ARTUR.

Co za wspaniałe echo.

ANNA.

A teraz jak dziwnie cicho...

ARTUR.

Takie dalekie grzmoty przepyszne są na oceanie.

MATKA.

Pan podróżował wiele?

ARTUR.

Na statku wojennym, jako oficer.

KSIĄDZ.

Czy nie na fregacie „Albatros"? Przypominam sobie, że czytałem pańskie nazwisko między tymi, którzy najdalej dotarli podczas ostatniej wyprawy ku biegunowi południowemu. *(Artur daje potakujący znak głową. Anna patrzy nań z widocznem zajęciem).* Szalony to był hazard.

ARTUR *(z pewną fantazyą).*

Śmierć patrzyła nam czasem prosto w oczy.

KSIĄDZ.

Ale za to cudne rzeczy musieliście widzieć.

ARTUR.

Nie do opisania, księże proboszczu. Kiedy słońce padło na lody, zdawało się, że ocean purpury i płomieni świat zalewa. Blask był olśniewający.

ANNA *(marząco).*

Chciałabym kiedy widzieć puste polarne przestrzenie w miesięcznem świetle...

KSIĄDZ.

Co do mnie, dawniej, marzyłem nieraz o Wschodzie. Chciałem być w Ziemi Świętej, na grobie Chrystusa.

ARTUR.

Byłem i tam.

ANNA *(j. w.).*

Nie mogę sobie inaczej wyobrazić Chrystusa, tylko w długiej, powłóczystej szacie, stojącego o zmroku, kiedy dopiero pierwsze gwiazdy wschodzą, blade i nikłe, nad jakąś wodą wielką i cichą, z głową na pierś schyloną, z wyrazem nieskończonego smutku na twarzy... Powieki ma spuszczone i gorzki, bolesny uśmiech na ustach... Patrzy w wodę, w głąb wodną... A cicho jest w okół i sennie.. *(Pauza).*

KSIĄDZ.

Noce wschodnie, to musi być cud prawdziwy.

ARTUR.

Niebo jest poprostu złote całe od gwiazd. Po liściach palm i kaktusów spływa strumieniami drżące lśnienie księżyca. Na ciemnych wodach leżą plamy świetlne i smugi po-

łysku. Lubiłem w taką porę sunąć się łodzią wzdłuż morskich wybrzeży.

ANNA.

Szkoda, że wiatr, moglibyśmy popływać po jeziorze, co tu aż pod pałac podbiega, pełne kwiatów u brzegu.

MATKA.

W górach coraz czarniej, musi tam być ulewa.

KSIĄDZ.

Zdaje mi się, że nawet rzeka silniej szumieć zaczęła.

ARTUR *(nadsłuchując).*

Istotnie.

KSIĄDZ.

Będziemy mieli wielką powódź. Słyszę wyraźny szum wód przychodzących.

ANNA.

Chciałabym kiedy słyszeć, jak szumią fale morskie, kiedy je księżyc od lądu odwleka... *(Pauza).*

MATKA.

Co za szczęście jednak, że pan nie wpadł w trzęsawiska w puszczy, błądząc w ciemnościach.

ARTUR.

Szczęśliwy traf wprowadził mnie na drogę do pałacu. Jechałem spokojnie, ale niedaleko już ztąd, koń mój wspinać się począł i upadł wraz ze mną.

ANNA *(nagle, nerwowo).*

Ach!

MATKA.

Co ci się stało, dziecko?

ANNA *(cicho do matki).*

Wydało mi się znów, jakby drzewa zadrżały w ogrodzie.

MATKA.

Dziwne masz dziś przywidzenia. Zresztą wicher jest silny.

ANNA *(j. w.).*

O nie, to nie wiatr... Ja wiem, że to przywidzenie, ale tak przejmujące...

KSIĄDZ *(patrząc uważnie na Annę).*

Nie trzeba się poddawać tym chorobliwym uczuciom.

ANNA *(jakby uniewinniając się).*

One same ku mnie idą niespodzianie i nie wiem zkąd?

ARTUR *(wstając i podchodząc ku Annie).*

Czy pani tylko z nut grywa? Wszak prawda, że nie?

ANNA.

Czasem, kiedy jest bardzo cicho i kiedy kwiaty bardzo pachną, gram, co mi na myśl przyjdzie...

ARTUR.

A właśnie teraz jest cicho i kwiaty pachną.

ANNA.

Muszę być sama, sama jedna...

KSIĄDZ.

Czy rozwinęły się już te lilie, które ci przywiozłem z mego ogrodu, dziecko?

ANNA.

Już. Dziwnie są blade i pachną nadzwyczaj mocno. Śliczne są, ale takie blade i smutne.

MATKA.

Lilia w ogóle nie jest wesołym kwiatem.

ANNA.

Pachną tak mocno, że Leon przyszedł dziś do mego pokoju od siebie, kiedym wpięła ich kilka we włosy.

ARTUR *(patrząc na głowę Anny).*

Czy to te?

ANNA.

Tak. Patrzyłam na nie w ogród o zmroku. Pochyliły głowy ku ziemi, jak senne...

KSIĄDZ.

Przypomina mi się ustęp z opery pańskiego ojca „Chrystus". To cudna arya *(mówi):*

A kiedy lilie chylą senne głowy
I rosa spada z nich na rdzawy wrzos:
Zda się, że stopy Matki Chrystusowej
Wsparły się na nich i otrząsły z ros...

(Błyskawica i gwałtowny grzmot).

MATKA.

Burza nadciąga. Oby tylko nieszczęścia jakiego nie było!

KSIĄDZ.

Chyba Bóg zechce.

MATKA.

Amen. *(Dłuższe milczenie).*

ANNA *(półgłosem, patrząc w niebo).*

Jak tam ciemno... Mam uczucie, jakby coś złego krążyło nad domem naszym...

(Jaskrawa błyskawica i grzmot bardzo bliski. Wszyscy się zrywają).

MATKA.

Chryste! To gdzieś tu!...

KSIĄDZ.

Gdzieś koło stodół!

ARTUR.

Wydało mi się, jakby w drzewo piorun uderzył.

ANNA.

Jak wicher gwiżdże po szklannym dachu cieplarni...

MATKA.

Szalona burza nadeszła.

KSIĄDZ *(do Artura).*

Chwała Bogu, żeś pan zdążył się schronić.

ANNA.

Jak czarno w przestworach...

(Wbiega Piotr zmięszany).

MATKA.

Co się stało?!

PIOTR.

Piorun uderzył w stary spichlerz! Pali się!

(Wszyscy zrywają się).

MATKA.

Anno, daj mi okrywkę, prędko!

(Anna wybiega drzwiami po lewej ręce widzów, bliżej skraju sceny).

KSIĄDZ.

W stary spichlerz, to ani szkoda wielka, ani niema niebezpieczeństwa.

MATKA.

Tak. Trzeba jednak opanować ogień; przy takim wichrze mógłby się łatwo roznieść.

(Anna wraca z okrywką).

ARTUR.

W której to stronie?

MATKA *(wskazując).*

Tam.

ARTUR.

Wiatr wieje ze strony przeciwnej, iskry nie będą leciały na pałac.

(Piotr wychodzi).

MATKA.

Ty, Anno, zostaniesz z Leonem. Chodźmy.

ANNA *(przerażona).*

Mam sama zostać?!

(Artur robi parę kroków z widocznym bólem w nodze).

MATKA.

Panie Weren, panu trudno stąpać. Proszę, zostań pan i zaopiekuj się Leonem wraz z Anną. *(Matka i ksiądz wychodzą. Dłuższa pauza).*

ARTUR.

Istotnie, czuję, że nie przydałbym się tam na nic.

ANNA.

A ja lękałabym się tu sama okropnie. Służba pobiegła do ognia. Pałac jest pusty, głuchy... Zajrzę do Leona. *(wychodzi).*

ARTUR *(sam).*

Ta dziewczyna jest jak sen, jest jak cud... Wszystko to zda mi się marzeniem...

ANNA *(powracając).*

Leon śpi w fotelu, kwiat, który mu dałam, trzymając w ręku. *(Idzie ku balustradzie i siada na poręczy pod kolumną z wazonem, bliższą drzwi, któremi wchodził Leon, do drzwi tych obrócona tyłem. Artur zbliża się ku niej i opiera o balustradę).*

ARTUR.

Od urodzenia zatem brat pani jest kaleką?

ANNA.

Tak.

ARTUR.

Dziwną tajemnicą musi być jego dusza.

ANNA.

Dziwną tajemnicą i wielką.

ARTUR.

Czy wrażliwy jest na co?

ANNA.

Wszystko, co ma woń i co miłe w dotknięciu, sprawia mu widoczną przyjemność. Ale szczególniej węch ma mocny. Nieraz w dzień słoneczny prowadzę go w pole, kiedy skoszone siana pachną; widzę, że mi jest wdzięczny.

ARTUR.

Pani najwięcej się nim zajmuje?

ANNA.

Tak, ja. Siadujemy często dniami całemi na łąkach.

Dzieci wiejskie, które wiedzą, że Leon lubi kwiaty, znoszą mu całe ich pęki, a on bawi się niemi i głaszcze dzieci po twarzach i główkach. Poznaje je dotknięciem dłoni i cieszy się do znajomych. Ale najczęściej staje tu na werandzie, wciąga w piersi wiatr chłodny, od gór wiejący i długo tak stoi, nieruchomy i blady. A czasem wyciąga przed siebie ramiona, jakby chciał lecieć gdzieś w przestrzeń... Twarz mu się wówczas dziwnie zmienia, jakaś wielka żałość ją powleka. Kiedyś orzeł tu krążył nad wodą, a on tak stał z wyciągniętemi przed siebie rękoma, jakby temu orłowi, co mógł lecieć w przestwory i patrzeć, skarżył się, niemy i ślepy...

ARTUR.

Łagodny jest zazwyczaj?

ANNA.

Teraz od jakiegoś czasu bywa rozdrażniony, ale zwykle spokojny jest zupełnie. Kilka razy zaledwie widziałam go w gniewie, wtedy jednak mógłby być niebezpieczny, bo wpada w furyę. Ale taki gniew wysila go bardzo i trwa krótko.

ARTUR.

Moja obecność widocznie go podrażniła.

ANNA.

On się musi do ludzi przyzwyczaić, a przytem nie lubi, kiedy ktoś obcy blizko mnie się znajduje.

ARTUR.

Więc on myśli i Bóg wie, jakie światy ma w duszy.

ANNA.

Bóg wie, jakie światy. *(Ukazuje się łuna na niebie, zrazu niewielka).* Ach! Patrz pan! Płomienie!

ARTUR.

Ogień musiał dach ogarnąć. Łuna na tem czarnem niebie przypomina mi pożar statku kupieckiego, który ratowaliśmy w porcie.

ANNA.

Tam nie byłeś pan zapewne tak bezczynnym, jak teraz mimowolnie.

ARTUR.

O, pracowaliśmy tam wszyscy, co sił starczyło.

ANNA.

Ocaliłeś pan komu życie?

ARTUR *(z uśmiechem)*.

Tylko psu, po którego nikt iść nie chciał.

ANNA.

W płomienie?

ARTUR *(z pewną fantazyą)*.

Istotnie, czerwono tam było od ognia.

(Anna mimowoli wyciąga ku Arturowi rękę z wymownem spojrzeniem. Artur chce zrazu rękę Anny do ust podnieść, potem waha się i puszcza ją. Milczenie).

ANNA *(pokrywając zmięszanie i pragnąc skierować uwagę Artura na co innego)*.

Góry majaczą w blasku. Wydają się tak ogromne. Słyszysz pan? Krokwie i belki trzeszczą.

ARTUR *(nadsłuchując)*.

Ma pani lepszy słuch odemnie.

ANNA.

Z drzew zrywają się spłoszone ptaki nocne, szeleszczą skrzydłami.

ARTUR.

Gołębie krążą nad domem.

ANNA *(niespokojnie).*

Słyszysz pan? Jakby jakiś tętent i chrzęst łamanych gałęzi w puszczy... Jelenie ogień zbudził i przeraził...

(Rozlega się odległy, pełny dźwięk wielkiego dzwonu).

ARTUR.

Jaki ponury ten dzwon.

ANNA.

Okropnie ponury. *(Pauza)* Czy pan jesteś spokojny?

ARTUR.

Zupełnie. Dlaczegóż miałbym się niepokoić? Wszakże pożar nie grozi pałacowi, ani zabudowaniom dworskim.

ANNA.

Tak, pożar nie grozi niczemu... Ten dzwon jest okropnie ponury *(pauza)*...

ARTUR *(chcąc odwrócić uwagę Anny).*

Brzmi, jak w ostatniej, przedśmiertnej symfonii mego ojca.

ANNA.

Pańskiego ojca?... To dziwne jednak, że los pana tu przywiódł...

ARTUR *(wzruszony, z uśmiechem).*

Po szczęście, czy nieszczęście?

ANNA *(smutno).*

Szczęścia jest tak mało na ziemi, tak dziwnie mało... Jaki pan teraz podobny do ojca. W pokoju moim, nad for-

tepianem, wisi jego portret. Lubię nań patrzeć. Ojciec pański jest moim ideałem, *(z uśmiechem)* moją pierwszą miłością...

ARTUR *(wzruszony)*.

Może mniej obcym będę pani przez to?

ANNA *(mimowoli serdecznie)*.

O tak! *(urywa i zmięszana mówi dalej)*. Naszych gór pan nie zna? Są bardzo dzikie i posępne.

ARTUR.

Od paru dni dopiero i pierwszy raz jestem w tych stronach. *(Chwila milczenia)*.

ANNA.

Łuna taka jasna i czerwona. A tam w głębi jak ciemno...

ARTUR.

Wiatr ustaje cokolwiek i księżyc zaczyna przeświecać między chmurami. *(Pauza .*

ANNA *(powoli, marząco)*.

Nie wiem dlaczego przypomina mi się teraz jedno ciche, lipcowe niedzielne rano na wsi... Siedziałam w oknie, przed oknami były klomby róż kwitnących i narcyzów białych i trawa bardzo zielona... Małe ptaszki skakały po gazonie i fruwało dużo motyli... Niebo było bardzo jasne, czyste, błękitne, pełne słońca... Pamiętam, że dzień cały potem był niezwykle pogodny i miły... *(Ciszej)* To było dawno i nie wiem czemu teraz mi się marzy...

ARTUR.

Myśl ludzka krąży niespodzianemi zwroty, jak jaskółka nad wodą. *(Pauza)*.

ANNA *(nerwowo).*

Słyszysz pan? Ogary wyją na folwarku. Musiały spostrzec ogień. Ale jak posępnie wyją...

ARTUR.

Jakby śmierć zwietrzyły.

ANNA *(gorączkowo).*

Śmierć!... To straszne słowo... Źle, że je pan wymówiłeś.

ARTUR *(zdziwiony).*

Wymawia się je przecież tak często.

ANNA *(j. w.).*

Są godziny, kiedy się słowa tego nie powinno wymawiać.

ARTUR *(z uśmiechem).*

Wszakże godzina duchów nie nadeszła jeszcze?

ANNA *(patrzy chwilę na Artura).*

Pan drwi, a czy pan wiesz, co tu jest koło nas? Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili nie trzeba było wymawiać tego słowa.

ARTUR *seryo).*

Ależ panno Anno, pani tak zbladła.

ANNA *(jakby do siebie).*

W tym dreszczu drzew, co przeleciał teraz ogrodem i w tym jęku dzwonu, słychać było to straszne słowo. *(Daleki grzmot).*

ARTUR *(usiłując odwieść uwagę Anny).*

Zapewne niedługo powróci matka pani z księdzem proboszczem?

ANNA.

Z księdzem? Prawda, ksiądz jeździł odwiedzić umierającego, ale tam śmierci nie zastał i tu powrócił. *(Po chwili)* Czy jesteś pan spokojny?

ARTUR.

Jestem spokojny.

ANNA.

Zupełnie spokojny?

ARTUR.

Zupełnie spokojny.

ANNA.

I nigdzie nic niema?

ARTUR.

Niema.

ANNA.

Nie śmiej się pan ze mnie, jestem dziś tak dziwnie rozstrojona... Męczą mnie od paru godzin jakby niejasne przeczucia czegoś złego... Jak cicho teraz...

ARTUR.

Zdaje mi się, że możnaby usłyszeć własne myśli...

ANNA.

Cyt! węże pobudziły się w trzęsawiskach, dźwigają głowy i syczą — słyszysz pan?

ARTUR.

Nie.

ANNA.

Dziwne jakieś odgłosy... Nie mówmy o tem. Chłodno mi. *(Artur ogląda się i spostrzega na poręczy chustkę czarną, włóczkową, przetykaną srebrnemi nićmi, którą podaje Annie).*

ARTUR.

Oto jakaś chustka. *(Zarzuca chustkę na ramiona Annie).* Czy dobrze? *(Ostatnie słowa mówi nieco wzruszony).*

ANNA.

Dobrze, dziękuję. *(Po chwili)* Dlaczego głos pana drżał?

ARTUR *(zmięszany).*

Kiedy?

ANNA.

Przed chwilą, gdyś mi pan chustkę zarzucić pomagał.

ARTUR.

Zdawało się pani — mój głos wcale nie drżał — mówiłem, jak zwykle.

ANNA.

Głos pana drżał... *(Patrząc bacznie na Artura)* Pan się lękasz czegoś, tak, jak ja, tylko taisz przedemną trwogę...

ARTUR *(z uśmiechem).*

Piękny byłby ze mnie oficer fregaty. I czegóż miałbym się lękać?

ANNA *(gorączkowo).*

Ja nie wiem, ale tu jest coś takiego, co pan musisz czuć, jak ja czuję.

ARTUR.

Nerwy moje hartowały się podczas orkanów i nawałnic morskich.

ANNA.

Zazdroszczę ich panu... Ach! Żeby ta noc już przeszła! *(po chwili, z wzrastającym niepokojem).* Strach spojrzeć w ten czarny przestwór. Pan się nie lękasz, a czy pan wiesz, czy pan możesz wiedzieć, co tu jest w tej godzinie koło nas?...

Ludzie mówią, że tu jest pusto, a tam *(wskazując na niebo)* jest Bóg... A mnie się zdaje, że cały ten czarny przestwór pełen jest czegoś niepojętego, pełen jakiejś grozy i przerażeń... *(Urywa nagle)*

ARTUR.

Co pani jest? Czemu pani tak nagle zamilkła?

ANNA *(przyciszonzm głosem)*.

Cyt! Słyszysz pan? Lękam się spojrzeć... Coś jakby szło przez ogród, nie dotykając drzew, ani kwiatów. Drzewa uchylają konary, a kwiaty gną się ku ziemi. Nawet strumień ciszej szemrze i wiatr ucieka... Ha!

ARTUR.

Panno Anno!

ANNA *(gorączkowo)*.

Słyszysz pan? Słyszysz pan? Coś jakby czołgało się z cichym szelestem po szklannym, wilgotnym dachu cieplarni... coraz bliżej, coraz bliżej... Nie! To nad siły!... *(Zasłania oczy)*.

ARTUR.

Doprawdy, pani...

ANNA.

Nie patrz pan, nie patrz pan!

(W tej chwili we drzwiach staje Leon, niewidziany przez Artura i Annę. Chwilę stoi, poczem posuwa się po cichu ku rozmawiającym, zatrzymując się kilkakrotnie. Widocznem jest, że odczuwa coś, co go niepokoi).

ANNA.

Tam w ciemnościach świecą wielkie, okrągłe, krwawo iskrzące oczy... Boże!... *(Słania się, Artur podtrzymuje ją ramieniem)*.

ANNA *(po chwili, słabym głosem)*.

Puść mię pan...

(Artur puszcza Annę, która opiera się o kolumnę. Chustka zsuwa jej się z ramion).

ARTUR.

Pani...

ANNA *(siląc się na spokój).*

Przestraszyłam pana — przepraszam... Jestem tak dziecinna...

ARTUR.

Przeląkłem się istotnie. Była pani tak blada.

ANNA.

To nic... Dziwnie mi pan w tej chwili przypomniał portret swego ojca. Czy prędko pan odjeżdża?

ARTUR *(pokrywając wzruszenie).*

Tak, muszę.

ANNA.

I dokąd?

ARTUR.

Pójdę błądzić dalej po szerokim, głuchym oceanie.

ANNA.

Tam musi być smutno. O czem pan myślisz na tych wielkich wodach?

ARTUR.

Dotąd myślałem o tem, com przebył w życiu i co mnie jeszcze spotkać kiedy może... Czasem było mi smutno — jak wszystkim żeglarzom.

ANNA.

Możesz pan przecie wrócić, kiedy zechcesz.

ARTUR.

Już nie powrócę nigdy *(po chwili)* chyba *(po chwili)*

ale to nie będzie. *(Po chwili, siląc się na uśmiech)* Tam bywa zresztą tak wesoło. Ocean szumi, marynarze śpiewają, a kiedy nocą wody leżą senne i cisza zstąpi na statek, wówczas myśl leci w nieskończone pustki, podobna mewom, albo orłom morskim...

ANNA.

I o niczem więcej pan nie myślisz, tylko o tem, coś przebył, lub co cię jeszcze spotkać kiedy może?

ARTUR *(po chwili)*.

Teraz przybędzie mi jeszcze jedno uczucie.

ANNA *(wahając się)*.

Jakie?...

ARTUR *(po pewnej walce z sobą)*.

Tęsknota. *(Milczenie)*

ANNA *(wyjmując jedną lilię z włosów i podając ją Arturowi)*.

Niech kwiat ten przypomina panu dom nasz, kiedy już będziesz daleko... Ale to kwiat tak wątły...

(Artur zatrzymuje w dłoni dłoń Anny, patrząc jej w oczy, jakby z zapytaniem, czy może ją pocałować? Anna mimowoli spuszcza oczy, Artur całuje ją nieśmiało w rękę).

ARTUR.

Zachowam go do śmierci.

ANNA *(ze słabym uśmiechem)*.

Mojej, czy swojej? Istoty takie, jak ja, nie żyją długo. Kiedy się pan dowiesz o mojej śmierci, gdzieś na oceanie, rzuć, proszę, kwiat ten do wody i patrz, jak będzie tonął... *(Po chwili)* Jestem dziecinna, prawda?... *(Po chwili)* Jak cicho...

ARTUR.

Wiatr opadł i łuna przygasa.

ANNA *(wsłuchując się).*

Cyt! Słuchaj pan. Zdaje mi się, jakby wielka fala dźwięków rozlewała się powoli wkoło, kręg za kręgiem, dalej i dalej... Płynie, płynie, aż gdzieś po siny, odległy skraj morza... I upaja mnie tak i zbezwładnia... Nęcąca jest, jak życie, mocna, jak śmierć, ta dziwna muzyka... Czy słyszysz pan?

ARTUR *(silnie wzruszony).*

Słyszę słowa pani, a one są mi muzyką, co nęci jak życie, a mocna jest, jak śmierć...

ANNA.

Coś dziwnego dzieje się ze mną... Mgła oczy mi zasłania i z sił opadam... Jestem teraz, jak dziecko zbłąkane w puszczy w noc burzliwą...

ARTUR.

Jestem przy tobie pani.

ANNA *(słaniając się, jakby blizka omdlenia).*

Jak te lilie jestem, co pod memi oknami rosną, wątłe wśród wichrów...

ARTUR.

Jestem przy tobie pani.

ANNA.

Jak te jaskółki jestem, które osłabły lecąc nad oceanem, a ląd daleko...

ARTUR *(zbliżając się).*

Jestem przy tobie, pani.

ANNA.

Cyt! Nie mów pan nic... Fala płynie i dźwięczy i gra coraz mocniej i otacza mię całą, kręg za kręgiem... Dziwna

muzyka... Czar jej myśl mą zamąca... *(Słania się więcej, Artur lekko ją obejmuje)*. Przypomina mi się znowu to niebo pogodne i to rano słoneczne... Zdaje mi się, jakby błękitne jakieś mgły rozwiały się wkoło, słodko dźwięczące... Czy widzisz pan?

ARTUR.

Widzę tylko ciebie pani, a te mgły błękitne, to są myśli moje.

ANNA.

Wszystko zamienia się w błękit i w pieśń... Dziwny sen...

ARTUR *(namiętnym szeptem)*.

Nie sen! Nie sen! To miłość moja tak mówi do ciebie, pani, to miłość moja otacza cię falą dźwięków i mgłami z błękitu...

ANNA *(chyląc się bezwolnie ku Arturowi)*.

Widny mi jest jakiś jasny, pełen słońca świat... cicha jakaś, słodka, senna toń... *(Opada na ręce Artura, który cofa się nieco w tył ku Leonowi. Leon tymczasem podsunął się już był ku samej kolumnie, tak, że dzieli go zaledwie krok od Artura i Anny. Nagle Anna wyrywa się z objęć Artura, wołając z przestrachem)* Ach! Drzewa zadrżały! Drzewa drżą! *(W tej chwili Leon natrafia wyciągniętemi rękoma na głowy Artura i Anny, którzy przerażeni odwracają się szybko. Leon chwyta Artura prawą ręką za ramię, lewą porywa wazon ze storczykiem z kolumny i uderza nim Artura w głowę. Artur pada z jękiem na ziemię. Leon ciężko dysząc, wysilony opiera się plecami o kolumnę. Anna, dotąd osłupiała, postępuje ku Arturowi, wzdryga się gwałtownie i przysłaniając oczy, krzyczy przeraźliwie)* Trup! A! A! A!...

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Czytelnia

SPIS RZECZY.

Str.

I. Wiersze Różne 1
Wstęp 3
W Nowy Rok 5
Credo 7
Duch destrukcyi 9
Kwestya polska 11
Dziś 12
Któż nam powróci... 13
Nad polem pustem... 15
Koniec wieku 16
Prometeusz 18
Widziadło 20
Chrystus i Magdalena 22
Wizya 23
Z »Exodus«. (Rozdział XVII) 24
Z »Exodus«. (Rozdział XIX) 27
Sen rzeczywisty 30
Przebudzenie Jehowy 34
Geniusze 36
Podczas burzy 37
Eviva l'arte 38
Słuchacze 40
Życie 42
Hymn do Nirwany 45
Hymn do miłości 47
Marzenie 51
Narodziny Afrodyty 53
Narodziny wiosny 55
Leda 57
Ona 59
Do nieznajomej 60

Str.
Zacisza 62
Wspomnienie 64
Lubię, kiedy kobieta... 65
Pod wrażeniem 66
Zawód 67
Morze 68
Nieskończoność 69
Albatros 72
Na Morzu Polarnem 74
Z Tatr:
1. Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichej 76
2. W Białem 78
3. W lesie 79
4. O zmroczu 81
5. Przy Morskiem Oku 83
6. W turniach 84
7. Melodya mgieł nocnych 86
8. Na »Żelaznej drodze« pod Reglami 87
List Hanusi 89
Na pogrzeb Teofila Lenartowicza 92
Kantata na odsłonięcie pomnika Mickiewicza 94
Do... 96
II. Zamyślenia 101
III. Preludya 137
IV. Sfinks. Fantazya dramatyczna 159

60 —
411061
6.04.76